



open eyes

nr 2 | październik 2017 r.  
oees.pl

# MAGAZINE

ISSN 2544-1213

MAGAZYN OTWARTYCH OCZU

egzemplarz bezpłatny



II  
CZŁOWIEKA W PRZYRODZIE?

WRACAMY DO XIX W.



## The host city

### The 23rd World Organization of Family Doctors Europe Conference WONCA

24–27 May 2018, ICE Kraków Congress Center

### European Wound Management Association WMA

9–11 May 2018, EXPO Kraków

### World Congress on Osteoporosis, Osteoarthritis and Musculoskeletal Diseases WCO

19–22 April 2018, ICE Kraków Congress Centre



...Kraków is the host city for over 5000 conferences every year...

[www.krakow.travel](http://www.krakow.travel)  
[www.convention.krakow.pl](http://www.convention.krakow.pl)

# TO NIE TEORIE, TO SIĘ DZIEJE

Nasi rozmówcy z ING mówią o swojej metodzie zarządzania zespołem Agile: „To już nie jest pilotaż, my to naprawdę robimy”. Z kolei Spółdzielnia ANG promuje biblioteki zakładowe. Rynek opanowują aplikacje i przedsięwzięcia oparte na modelu „na wezwanie”, a więc wzorowane na Uberze lub na społecznościach internetowych, jak Slow Road. To wszystko dzieje się w czasie, gdy wielu rolników w Afryce czy Ameryce Łacińskiej nadal żyje w ubóstwie, choć zaopatrują stoły obywateli wielokrotnie zamożniejszej Europy. Jednocześnie, nawet w Polsce, gdzie nasycenie przemysłu robotami jest dość niskie, postępuje robotyzacja. To z kolei powoduje stopniowy wzrost poczucia zagrożenia wśród ludzi, którzy tracą pracę i nie mogą znaleźć nowej, stabilnej. Politycy debatują, jak postępować, by uniknąć buntu biedniejszej części społeczeństwa, a jednocześnie nie tłumić wolności. Organizacja Narodów Zjednoczonych próbuje nakłaniać kolejne kraje do przyjęcia zasad zrównoważonego rozwoju.

Pęd do modernizacji i zwiększania dochodów oraz umacniania roli człowieka w świecie dość dobrze pokazuje spór o Puszcę Białowieską. Dyskusja wokół najstarszego polskiego lasu już dawno przesunęła się od zagadnienia „Jak chronić abstrakcyjne i nieprzemijalne wartości przyrody?” w stronę pytania „Czy ten skrawek Polski powinien przynosić wpływy?”. Nikomu nie przychodzi do głowy, że w kilka lat możemy zniszczyć to, co powstawało przez lat setki.

Żeby udało się ochronić Puszczę przed destrukcją, a społeczeństwa przed głębokim kryzysem, musimy się oprzeć na wartościach innych niż tylko materialne. Zaufanie, współpraca, solidarność, uczciwość, odpowiedzialność – o tym, jak dążymy do wzmocnienia ich obecności w naszym życiu i gospodarce, piszemy w drugim wydaniu „Open Eyes Magazine”.

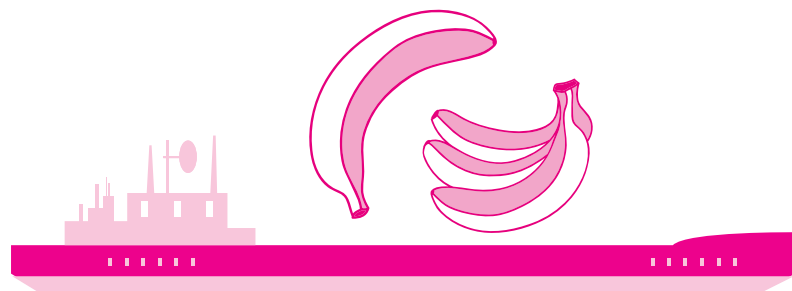
**Bartosz Piłat**

## SPIS TREŚCI

Konsumenci wszystkich krajów – łączcie się!	3
Skąd się biorą banany i kto je zjada	7
Kawa jak ropa naftowa	8
Rozliczamy Fairtrade	10
Założ to jeszcze raz	10
Wyspy i archipelagi	12
Droga do czystego powietrza	18
Mniej odpadów, więcej surowców	20
Samowystarczalni z Amsterdamu	22
Masz problem? Zadzwoń	26
Na krańcu świata. Przerąbane	28
Otwarte klatki	36
Open Eyes meeting points	39
Branża finansowa ma wyzwanie: odpowiedzialną sprzedaż	40
Coraz czystsza moc	42
Na zdrowie!	43
W ING wszyscy mają wpływ	44
Społeczna odpowiedzialność na szczeblu rządowym	46
Miejsce pracy dla każdego	48
Dochód, czyli bezpieczeństwo	49
Koniec pracy, koniec usług?	52
Zjeść ciastko...	54

# Konsumenci wszystkich krajów – łączcie się!

Na **eksport** trafia tylko **ok. 20 proc.** wszystkich uprawianych bananów – są warte **7 mld dolarów.**



## Dwa słowa, wiele znaczeń

W literaturze często pojawiają się zwroty „Fairtrade”, „Fair Trade”, „Sprawiedliwy Handel”, a także „fair trade” i „sprawiedliwy handel”. Ich znaczenia są różne:

- ↳ **„Fairtrade”** określa system certyfikacji produktów będący własnością Fairtrade International.
- ↳ **„Fair Trade”** to pojęcie szersze znaczeniowo od „Fairtrade” i odnosi się do całego ruchu Sprawiedliwego Handlu, włącznie z poszczególnymi organizacjami i systemami certyfikowania organizacji i produktów.
- ↳ **„Sprawiedliwy Handel”** – polskie tłumaczenie zwrotu „Fair Trade” używane zamiennie z angielskim oryginałem.
- ↳ **„fair trade”** pisane małymi literami oznacza po prostu uczciwość (*justice*), sprawiedliwość w relacjach handlowych i nie musi się odnosić wyłącznie do ww.: ruchu, organizacji i systemów certyfikacji.
- ↳ Pojęcia **„sprawiedliwy handel”**, czasem **„uczciwy handel”** to polskie tłumaczenia zwrotu „fair trade” w szerokim rozumieniu.

Źródło: [www.fairtrade.org.pl/sprawiedliwy-handel/fair-trade-vs-fairtrade/](http://www.fairtrade.org.pl/sprawiedliwy-handel/fair-trade-vs-fairtrade/)



***Nie stać cię na kredki dla dzieci ani na szkolne obiady? Woda z domowego kranu nie nadaje się do picia? Skórę masz zniszczoną nawozami? Pewnie jesteś bananero i marzysz, żeby wszyscy w Polsce kupowali „uczciwe banany”. Ale nie kupują, bo tu też robotnicy zarabiają kiepsko.***

Galo Cerrasco w wieku 32 lat trafił do lekarza z poważnymi problemami żołądkowymi. Od dwóch lat pracował na wielkiej plantacji bananów należącej do firmy eksportującej owoce do krajów Ameryki Północnej i Europy, także do Polski. – Lekarz stwierdził, że przyczyną moich kłopotów jest stały kontakt z pestycydami – mówi Cerrasco. – Musiałem szukać innej pracy, niezagrażającej zdrowiu.

To było 6 lat temu, Galo znalazł wtedy posadę w spółdzielni AsoGuabo, a tym samym nie tylko zdrowe miejsce pracy, ale też organizację, która swoich pracowników traktuje uczciwie. Na 85 ha plantacji założonej przez rolników zrzeszonych w AsoGuabo razem z 45 innymi osobami Galo tworzy spółdzielnię uprawiającą banany z certyfikatem Fairtrade. Spółdzielcy mają tu wpływ na swoje otoczenie, pensje, ale też decydują, jak wydać część zarobionych pieniędzy, tzw. premię Fair Trade. Ostatnio wypracowali jej 177 tys. dolarów. Część kwoty przeznaczyli na inwestycje na plantacji, część na zaspokojenie potrzeb pracowników, którzy nie dostają gotówki, ale rzeczy zakupione wedle zgłaszanych przez cały rok potrzeb. W ubiegłym roku spółdzielnia sfinansowała np. wyprawki szkolne i buty dla dzieci pracowników. Wielu spółdzielców otrzymało także wsparcie przy remoncie lub rozbudowie domów. Z tych środków w połowie finansowane są również koszty posiłków dla pracowników plantacji (także tych sezonowych, niezrzeszonych w spółdzielni). Dzięki wsparciu z premii Cerrasco mógł sprowadzić do gospodarstwa cztery krowy i znacznie poprawić swój byt.

Plantacja, na której pracuje Cerrasco, działa na ziemi wydzierżawionej przez AsoGuabo, starając się podnieść jakość życia robotników w okolicy i pomóc tym, którzy nie znaleźli pracy na plantacjach 125 rolników tworzących spółdzielnię.

## RAZEM ŁATWIEJ

AsoGuabo to skrót od Stowarzyszenia Małych Producentów Bananów „El Guabo”. Spółdzielnia założona została przez 14 rolników w 1997 r. i od tamtej pory w miarę znajdowania nowych rynków zbytu bananów fair trade systematycznie się rozrasta. Pierwsze owoce sprzedała za pośrednictwem holenderskiej firmy AgroFair do marketów spółdzielni-sieci COOP w Szwajcarii.

Po 20 latach AsoGuabo jest o wiele większa, ale nadal składa się z drobnych producentów z prowincji El Oro z południa Ekwadoru. Siedziba spółdzielni mieści się w miasteczku El Guabo. Spółdzielcy sprzedają rocznie ponad milion kartonów bananów (1 karton waży ok. 15 kg). Pozyskanie certyfikatu Fairtrade było dla

bananeros (producentów) z El Oro jedyną szansą na uzyskanie takiej ceny owoców, jaka wreszcie umożliwiłaby im normalne życie. Połowa produkcji ma dodatkowo certyfikat rolnictwa ekologicznego. Funkcjonowanie w ramach sieci Fair Trade umożliwia spółdzielcom zaplanowanie kosztów i wydatków. Cena kartonu bananów ustalana jest co roku (w odniesieniu do sytuacji gospodarczej, kosztów produkcji itp.) i obowiązuje do następnego okresu rozliczeniowego. Pozwala to uniknąć największego problemu w życiu rolnika, czyli gwałtownych wahań cen skupu, co w przypadku bananów, zbieranych i sprzedawanych przez okrągły rok, ma olbrzymie znaczenie.

Karton bananów jest dziś wyceniany na 9 dolarów, z czego 6 to zarobek producenta, resztę zaś pochłania transport (AsoGuabo sprzedaje banany do Europy, Kanady, Nowej Zelandii i USA), opłaty portowe, koszt produkcji kartonów i koszty marketingowe spółdzielni. Spółdzielcy mają stały kontakt z klientami i są w stanie zaplanować produkcję. Pomaga im w tym holenderska AgroFair, której AsoGuabo jest udziałowcem.

## SPOŁECZNY ZYSK

Spółdzielnia nie tylko ułatwia rolnikom zdobywanie klientów za granicą, ale też obniża koszty funkcjonowania. Mają wspólne centrum logistyczne, razem wynajmują doradców pomagających zminimalizować zużycie nawozów (w AsoGuabo używają 9 razy mniej pestycydów niż na plantacjach konwencjonalnych), razem zakupują niezbędne materiały, opakowania, sprzęt. Funkcjonowanie w ramach spółdzielni ułatwia także zdobywanie potrzebnych do rozwoju kredytów.

Stabilizacja dla producentów to również ogromna korzyść dla ich pracowników. Spółdzielnia zmieniła życie setek osób, choćby dzięki wprowadzeniu zabezpieczeń socjalnych i budowaniu wspólnoty, do czego zmusza premia Fair Trade. Od każdego sprzedanego kartonu bananów fair trade producenci dostają 1 dolara premii, którą muszą wydać na wsparcie lokalnej społeczności albo wspólne potrzeby. Spółdzielnia AsoGuabo przynosi to rocznie ponad milion dolarów. Decyzje, na co wydać te pieniądze, podejmowane są na corocznych walnych zebraniach.

Zwykle ok. ⅓ puli inwestuje się w infrastrukturę rozwijających się plantacji należących do spółdzielni, usuwanie skutków powodzi albo budowanie zbiorników na wodę. Do wszystkiego trzeba przekonać innych spółdzielców. Kolejna ⅓ wydawana jest na projekty społeczne. AsoGuabo regularnie wspiera na przykład szkoły, w których uczą się dzieci producentów, i kupuje

wyposażenie oraz sprzęt do sal lekcyjnych, książki i przybory. Z puli premiovej od 13 lat utrzymywany jest także mały ośrodek zdrowia w El Guabo, gdzie pracuje 2 lekarzy. Członkowie spółdzielni mogą korzystać z pomocy medycznej za darmo, zaś inni pacjenci za opłatą 3–5 dolarów (standardowa cena takiej wizyty w Ekwadorze to 30 dolarów). W 2017 r. z pieniędzy premiovej uruchomiono w jednej ze szkół stację uzdatniania wody. Spółdzielnia zastąpiła tu państwo, które nie reagowało na wnioski dyrektora szkoły alarmującego, że woda z kranu była tam niezdatna do picia. Ze stacji korzysta dziś szkoła oraz 80 okolicznych mieszkańców. Spółdzielnia opłaca również pracę terapeuty w ośrodku dla osób niepełnosprawnych. Seniorzy z rodzin należących do spółdzielni otrzymują bony na opiekę medyczną. Resztę funduszy AsoGuabo przeznacza na rozwój wspólnej infrastruktury: transport, magazyny, biura.

## SZCZĘŚLIWI Z EL ORO

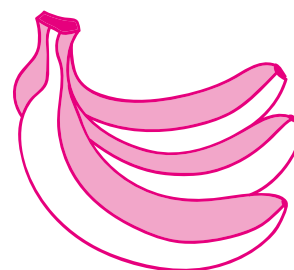
Masowa produkcja bananów wiąże się niestety z ogromną liczbą przypadków łamania praw pracowniczych. Praca po 14–16 godzin, rażąco niskie wynagrodzenia, brak jakichkolwiek ubezpieczeń zdrowotnych, stały kontakt z pestycydami, zwalczanie organizacji zawodowych – to codzienność na wielkich plantacjach. Od tego uciekali rolnicy należący dziś do AsoGuabo i ich pracownicy.

Zanim Anibal Cabrera zaczął uprawiać banany na swoich 4 hektarach ziemi (drugie tyle zajmuje kakao), pracował w kopalni złota oraz na wielkich plantacjach. – Było trudno. Pracowaliśmy po kilkanaście godzin dziennie, bez żadnej gwarancji, że następnego dnia też będziemy mieć pracę. Na dokładkę w latach 90. prawie w ogóle nie kontrolowano zużycia nawozów – opowiada Cabrera, tłumacząc, dlaczego w 2003 r. dołączył do AsoGuabo. Zdecydował się wtedy na zdobycie certyfikatu rolnictwa ekologicznego. Na co dzień ma jednego pracownika, a w intensywnych okresach dodatkowo pomoc dalszej rodziny. – Dzięki AsoGuabo mam stałe dochody. Nie wystarczają na realizację marzeń, ale na spokojne życie tak – przekonuje. – Starsza córka może dzięki temu uczyć się na wyższej uczelni, a młodsza chodzi do szkoły, którą AsoGuabo wspiera z premii Fair Trade.

Podobne wspomnienia ma Marcelina Agurto. Kobieta ma 81 lat, z czego połowę przeżyła, pracując jako *bananero*. Pochodzi z biednej rodziny, dopiero kiedy skończyła 44 lata, mogła sobie pozwolić na zakup ziemi i założenie gospodarstwa. Pierwsze kilkanaście lat to była praca na zlecenie wielkich pośredników. – Pracowaliśmy na okrągło, żeby tylko przeżyć. Kiedy dołączyłam do spółdzielni, wszystko się zmieniło. Nie jest źle. Star-



Za ok. **15 kg**  
bananów  
płaci się  
**5 dolarów.**  
Banany  
*fair trade* są  
wyceniane na  
**9 dolarów.**



cza mi na życie, mogę też inwestować – mówi Agurto. Otrzymała dotację na nową stację mycia i pakowania bananów, która zużywa mniej drogocennej w tym rejonie wody.

Taką opowieść ma też Hugo Rocafuerta. On mógł pozwolić sobie na wystanie syna na uczelnię rolniczą. Dziś syn dzieli się wiedzą z całą spółdzielnią. To potrzebne, bo AsoGuabo minimalizuje zużycie pestycydów, a coraz więcej rolników decyduje się na uprawę ekologiczną. – Rośliny uprawiane bez sztucznych środków ochrony czasem chorują, więc testujemy różne naturalne rozwiązania, wymieniamy się wiedzą, doświadczeniami, doszkalamy się – mówi prezesa spółdzielni Fabiola Ramon.

Wszystko to sprawia, że AsoGuabo nie ma problemów ze znalezieniem pracowników. Przy uprawach pracuje ok. 600 osób, nie licząc rodzin rolników. Przyciąga ich ubezpieczenie zdrowotne, 5-, a nie 6-dniowy (jak na wielkich plantacjach) tydzień pracy oraz 15 dni płatnego urlopu. Stała pensja to nawet 400 dolarów, do tego szkolenia BHP. Pracownicy tymczasowi zatrudniani w AsoGuabo dostają wyższe stawki godzinowe, aby mogli ubezpieczyć się na własną rękę.

Od pewnego czasu spółdzielnia przestała się jednak rozwijać. – Nie możemy znaleźć nowych rynków zbytu. A bez tego przyjmowanie nowych spółdzielców nie ma sensu. Dlatego z pomocą Fair Trade szukamy potencjalnych klientów – mówiła Fabiola Ramon w czasie wizyty w Polsce. – To trudne, bo nasze banany smakują tak samo jak te z wielkich plantacji, ale są droższe. Możemy tylko przekonywać, że choć nie poczujesz różnicy w smaku takiego spółdzielczego banana, to kupując

owoce z naklejką Fair Trade, masz gwarancję, że rolnik-producent i jego pracownicy otrzymali godziwą płacę.

## UCZCIWY BANAN W EUROPIE

W systemie Fair Trade funkcjonuje obecnie ponad 22 tys. rolników i ich pracowników zatrudnionych w 70 spółdzielniach lub na 54 certyfikowanych plantacjach. W 2015 r. sprzedano 490 tys. ton bananów z certyfikatem Fairtrade.

W Europie to 8,2 proc. całego rynku sprzedawanych bananów. Spośród europejskich sieci handlowych jedynie 5, tj. COOP, Sainsbury, Waitrose (z ostatnie tylko na terenie Wielkiej Brytanii) oraz Spar i Plus (funkcjonujące w Holandii), zdecydowało się sprzedawać wyłącznie banany certyfikowane. Jeśli chodzi o wagę, największym sprzedawcą bananów fair trade są sklepy w Wielkiej Brytanii, gdzie blisko 48 proc. tych owoców ma naklejkę Fair Trade. Z kolei największym udziałem uczciwych bananów w ogólnym rynku sprzedaży może się poszczycić Szwajcaria (54 proc. rynku), podczas kiedy w Niemczech to obecnie tylko 10 proc., choć liczba ta systematycznie rośnie. Co ciekawe, 90 proc. sprzedawanych w Niemczech bananów fair trade ma jednocześnie certyfikat rolnictwa ekologicznego. Można się jedynie domyślać, że kupują je bardziej świadomi i zamożniejsi konsumenci.

Pierwsze uczciwe banany przyjechały do Europy w 1985 r. i trafiły do Szwajcarii. W Niemczech pojawiły

się w roku 1998, w Austrii w 2013 i dziś stanowią ⅓ rynku zbytu (wcześniej dominowały tam banany z mniej surowym certyfikatem Rainforest Alliance). Choć Włochy nie są tak zamożnym krajem jak wyżej wymienione, aż 50 proc. sprzedawanych tam bananów ma certyfikat Fairtrade. Klienci włoskich sklepów z dużym zrozumieniem podchodzą do uczciwego handlu z rolnikami zza oceanów.

Jak na razie porażką zakończyły się 2 próby wprowadzenia na stałe bananów fair trade do Czech. W 2011r. przymierzała się do tego sieć Spar, po roku jednak zrezygnowała. Jakies 2 lata później producenci zaczęli rozmowy z 3 sieciami handlowymi, ale nie udało się ich przekonać do wprowadzenia takich owoców do sklepów.

## KASJERKI NIE STAĆ NA UCZCIWEGO BANANA

Coraz częściej na stoiskach z wędlinami szukamy produktów lokalnych, które stały się synonimami jakości,

uczciwości, a także gospodarczego patriotyzmu; wariety kupujemy na placach handlowych, prosto od rolników, starając się pomijać cały łańcuch pośredników. Dzięki temu mamy poczucie, że uczciwi producenci zarabiają lepiej. Jednak kiedy kupujemy banany albo kawę, nie myślimy w kategoriach lokalności ani nie pójdziemy do rolnika, który je wyprodukował, bo to po prostu niewykonalne. Przystajemy się zastanawiać, w jaki sposób owoce, ziarna kawy czy bawełniane ubrania zostały wyprodukowane albo ile zarobił ich wytwórca.

Rolnika, który uprawia zjadane przez nas banany, większość z nas nigdy nie zobaczy. Jest jednak sposób, by wspierać tych uczciwie dzielących się zyskiem z pracownikami i korzystać z usług firm, które pośredniczą w sprzedaży owoców, nie wymuszają na rolnikach zniżania cen. Wystarczy szukać produktów oznaczonych certyfikatem Fairtrade.

Niestety w Polsce uczciwie wyprodukowanych bananów do niedawna nie dało się znaleźć – ostatnio do sprzedaży wprowadził je Lidl, przymierza się do tego Tesco, aktywnie na hale wypuszcza je Auchan. Biedronka ma świadomość sytuacji, ale jak na razie, zapewne głównie ze względu na cenę takich owoców

i profil swoich klientów, nie planuje wprowadzenia do sprzedaży bananów fair trade.

W Polsce najważniejszym kryterium wyboru bananów wciąż pozostaje cena. Te certyfikowane są sprzedawane niemal 2 razy drożej. W jednej z sieci handlowych obawiano się porażki sprzedażowej bananów fair trade, uznano, że klienci nie będą w stanie zrozumieć, dlaczego tak samo wyglądające owoce mają tak różne ceny. – Polski konsument uważa, że sam ma zbyt ciężko, aby pomagać innym ludziom, np. w Ameryce Łacińskiej – usłyszeli przedstawiciele Fair Trade w czasie sondowania rynku. Polski rynek bananów uważany jest też za mały. Rocznie zjadamy przeciętnie 5–6 kg tych owoców na osobę, podczas gdy w krajach zachodnich średnia to 10,5 kg, a w Wielkiej Brytanii – 17 kg. Istotną rolę może tu odgrywać owocowy patriotyzm: banany są drugie po jabłkach, których zjadamy statystycznie... 15 kg rocznie. Co ciekawe, tak jak nie przejmujemy się losem pracowników wielkich plantacji, tak samo nie kontrolujemy, w jakich warunkach produkowane i zbierane są rodzime jabłka.

Czy taka postawa jest zaskakująca w Polsce, gdzie 5 proc. osób otrzymuje pensję minimalną (ustaloną przez rząd odgórnie na poziomie 2000 zł brutto), zaś

połowa Polaków mniej niż 3200 zł brutto? Lidl, który zdecydował się na ryzykowny krok wprowadzenia bananów fair trade, sam przez lata był oskarżany o nieuczciwe traktowanie pracowników i skandalicznie niskie pensje. Dziś się to zmieniło, sieć jest jedną z najlepiej płaćących w branży. Historia upadających marek Bomi czy Alma jest też dość poważną wskazówką rynkową, że jedzenie lepszej jakości i droższe

nadal stanowi u nas handlową niszę. Tylko 10 proc. osób w Polsce zarabia powyżej 7 tys. zł brutto, a to dopiero ta kwota pozwala na kupowanie jedzenia bez nadmiernego przejmowania się ceną. Kiepsko opłacani pracownicy w Polsce nie kupują więc drogich uczciwych bananów ani innej żywności ekologicznej lub jakościowych produktów lokalnych, bo po prostu ich na to nie stać. Między innymi z tego powodu w Ekwadorze

i innych krajach producenckich robotnikom na wielkich plantacjach nadal płaci się głodowe stawki.

Wartość bananów sprzedawanych poza krajami, w których są produkowane, przekroczyła w 2015 r. 7 mld dolarów. A jednak życie pracowników gigantycznych plantacji i drobnych właścicieli jest niełatwe – wielkie firmy konkurują na rynkach przede wszystkim

Za 80 proc. eksportu bananów odpowiadają Ekwador, Filipiny, Gwatemala, Kostaryka i Kolumbia. W Polsce prym wiodą banany z Ekwadoru. Więcej informacji na stronie: <[www.ekonsument.pl/banany](http://www.ekonsument.pl/banany)>.



## Skąd się biorą banany i kto je zjada

**Banany uprawia się w Azji, Ameryce Łacińskiej i w Afryce. W wielu krajach producenckich są jednymi z najpopularniejszych owoców wykorzystywanych nie tylko jako deser, ale przede wszystkim element codziennej kuchni. Dlatego, jak szacują organizacje branżowe, na eksport trafia tylko ok. 20 proc. wszystkich wyhodowanych bananów.**



Na zdjęciach:

↑ **Natalie Zoetewij** – pracuje w AsoGuabo.  
← **Hugo Rocafuerta** mógł pozwolić sobie na wystąpienie syna na studia.

fotografie: Maciej Zygmunt

za pomocą cen, co przy wciąż rosnących kosztach powoduje, że plantatorzy i ich pracownicy muszą się zadowolić jedynie niewielką częścią z ostatecznie uzyskanej kwoty. Za 15-kilogramowe pudełko bananów uprawianych na wielkich przemysłowych plantacjach płaci się nie więcej niż 5 dolarów. Banany fair trade są wyceniane na 9 dolarów. Największymi eksporterami bananów są Ekwador, Filipiny, Gwatemala, Kostaryka i Kolumbia – 80 proc. bananów na półkach sklepowych pochodzi z tych krajów. W Polsce prym wiodą banany z Ekwadoru.

Historia eksportu bananów na masową skalę rozpoczyna się w XIX w. Od początku opanowały go wielkie firmy, głównie z USA, które w Ameryce Łacińskiej dominowały wtedy zarówno politycznie, jak i gospodarczo – tak było aż do lat 80. XX w. Korporacje te przejęły w tym czasie cały łańcuch produkcji i handlu bananami. Zagarnęły na własność plantacje, same przewoziły owoce i dostarczały je do sklepów. Pod koniec lat 80., kiedy nastąpił odwrót od tej metody, aż 80 proc. światowego rynku bananów znajdowało się w rękach 5 firm: Dole, Chiquita, Del Monte, Fyffes i Noboa. W 2013 r. ich udział spadł do 44 proc.

Tak drastyczne zmiany zostały wymuszone przez sieci hipermarketów, które w dążeniu do zbitcia kosztów coraz częściej omijały wielką piątkę i kupowały banany bezpośrednio od mniejszych producentów i hurtowników. Korporacje zaczęły więc porzucać rolę właścicieli wielkich plantacji i zajęły się przede wszystkim skupem owoców.

**Bartosz Piłat**



# KAWA JAK ROPA NAFTOWA

**Kawa, zaraz po ropie naftowej, jest drugim pod względem wartości „surowcem”, jakim handluje się na giełdach. Ze względu na wartość i wielkość spożycia stała się też najważniejszym produktem sprzedawanym z oznaczeniem Fairtrade.**

Dane mówiące, ile kawy pije się na świecie, nie są zbyt precyzyjne, opierają się bowiem na deklaracjach. Statystyczny mieszkaniec Unii Europejskiej wypija 4 filiżanki kawy dziennie. Z informacji dotyczących sprzedaży wynika z kolei, że w Polsce na jedną osobę przypada 3,4 kg kawy rocznie, a np. w Finlandii 12,7 kg.

Jedno jest pewne: każdego roku wypijamy morza kawy. Nic zatem dziwnego, że prawie połowa spośród 1,6 mln rolników i robotników zrzeszonych w sieci Fair Trade na całym świecie pracuje na małych plantacjach kawy. *Coffee* była też pierwszym produktem, który w 1988 r. został wprowadzony do sprzedaży z certyfikatem Fairtrade. Do Holandii przyłynęła wtedy dostawa uczciwie wyprodukowanych ziaren z Meksyku.

Kawa była pierwsza, bo wydawało się, że właśnie zderzenie w świadomości konsumentów informacji o masowości rocznej produkcji i jakości życia rolników zajmujących się uprawą kawy może przynieść pozytywny efekt. Prawie 80 proc. światowej produkcji pochodzi z małych plantacji należących do 25 mln właścicieli. W sieci Fair Trade zrzeszonych jest już 812,5 tys. rolników (dane z 2015 r.): 80 proc. w Ameryce Południowej, ale są też rolnicy z Ugandy, Tanzanii czy Indonezji.

W sezonie 2014/2015 (od października do września) rolnicy na całym świecie wyprodukowali niemal 8,6 mln ton kawy. Największymi krajami producenckimi są Brazylia (30 proc. rynku) i Wietnam (20 proc.). Rocznie rynek kawy generuje 80 mld dolarów przychodu – rolnicy otrzymują z tej puli niewielką część, zwykle między 7 a 10 proc. kwoty. Jeśli wziąć pod uwagę, że suma ta trafia do 25 mln rolników i robotników, to łatwo przeliczyć, że zarobione pieniądze nie pozwalają na przeżycie „od pierwszego do pierwszego”. Większość z nich nie zarabia 100 dolarów miesięcznie (w Ameryce Południowej to niewielka kwota), a w Afryce – nawet 15 dolarów.

Rolnicy działający fair trade łączą się w spółdzielnie, dzieląc się premią Fair Trade przeznaczoną na realizację wspólnych celów (w 2014 r. było to ok. 49 mln euro – rolnicy otrzymują 45 eurocentów premii za kilogram

kawy „tradycyjnej” lub 70 za kilogram uprawianej organicznie). System Fair Trade pomaga ustabilizować życie rolników, gwarantując im ustaloną z góry cenę ziaren. Światowe ceny wahają się, często radykalnie – z powodu chorób roślin na plantacjach, pogody, kataklizmów czy wreszcie – spekulacji giełdowych. Ustalona przez Fair Trade cena minimalna nie blokuje rolnikom możliwości negocjacji w wypadku, gdy wartość kawy na rynkach światowych jest wyższa. Jakość produkowanych ziaren zaczyna więc mieć znaczenie.

Udział w sieci Fair Trade pozwala też na regularne inwestycje. Aby utrzymać produktywność farmy i stały poziom zbiorów, trzeba systematycznie wymieniać krzaki, ponieważ po 30 latach od posadzenia przestają one owocować. Nowe rośliny dopiero po 6 latach przynoszą odpowiednio duże plony. Plantatorzy, którzy nie są w stanie sprostać finansowo tym warunkom, zadłużają się w wielkich korporacjach lub sprzedają im swoje farmy. Między innymi z tego powodu Fair Trade nakłania rolników do poszerzenia oferty i nieopierania się wyłącznie na uprawie kawy.

Dlatego to, że sieć stacji Orlen decyduje się kupić do swoich ekspresów wyłącznie kawę fair trade, ma olbrzymie znaczenie gospodarcze dla setek tysięcy rolników na całym świecie. Takich ruchów dokonywały wcześniej inne wielkie firmy Europy Zachodniej. W Niemczech trudno dziś w ogóle kupić kawę bez oznaczenia wskazującego na jej uczciwe pochodzenie. Także w Polsce nie ma już sieci handlowej, która nie miałaby w swojej ofercie kawy z certyfikatem Fairtrade.

Modę na uczciwą kawę przyspieszyły rozwijające się wśród kawoszy trendy na napoje parzone w mniej tradycyjny sposób lub z ziaren wypalanych nie masowo, a w małych zakładach. Kawa sprzedawana w próżniowych opakowaniach przez znane duże marki to najczęściej bardzo mocno wypalone ziarna gorszej jakości. Poziom wypalenia zapewniający czekoladowe i orzechowe nuty smakowe ma maskować niedoskonałości produktu. Tylko dobrze przebrane owoce kawy i uzyskane z nich ziarna w połączeniu z odpowiednim sposobem wypalania (zwykle delikatnego – takie ziarna mają pomarańczowy lub jasnobrązowy, a nie prawie czarny kolor) pozwalają na uzyskanie niebanalnego smaku. Liczba kawiarni oferujących tego rodzaju kawę nawet w Polsce jest już niemała – w Krakowie to już ponad 20 miejsc. Oferowane ziarna różnią się smakiem i miejscem pochodzenia. A z opakowania dowiemy się, kto i gdzie je wyprodukował. Dzięki internetowym mapom można też łatwo sprawdzić, w jakich warunkach uprawia się kawę, której ziarna posłużyły do przygotowania naszej filiżanki przyjemności.

**pił**

# Rozliczamy Fairtrade

**Czy rolnicy rzeczywiście zarabiają tyle, ile powinni? Czy podczas certyfikacji i poszukiwania klientów nie pojawia się korupcja? Czy Fairtrade naprawdę zmienia życie producentów rolnych? I najrzadziej padające pytanie: „Jak wyglądałby handel bez takich organizacji?”**

Dyktujący zasady moralne misjonarze uczciwości bardzo szybko stają się obiektami lustracji i krytyki. To oczywiście zdrowy przejaw życia społecznego – obywatelska kontrola i transparentność są niezbędne, jeśli chce się mówić o uczciwym handlu. Nie inaczej traktowana jest sieć Fair Trade. Krytyka jest w tym przypadku surowsza niż zwykle, ponieważ o alternatywnych organizacjach handlowych zaczęto dyskutować w Europie z pobudek czysto etycznych. Wszystko zaczęło się w 1944 roku, po podpisaniu z Bretton Woods porozumienia stanowiącego symboliczny początek wtedy nowej, a dziś owianej niesławą, epoki kapitalizmu.

Idee dotyczące uczciwego handlu mają swoje korzenie w XIX- i XX-wiecznych ruchach antykolonialnych. W swoich początkach organizacje zajmujące się alter-

natywnymi (wobec porządku Światowej Organizacji Handlu – WTO) kanałami handlu bardzo chętnie odwoływały się do fikcyjnej postaci Maxa Havelaara. Ten tytułowy bohater napisanej pod koniec XIX w. książki Eduarda Dekkera był buntownikiem, który nie mógł pogodzić się z tym, jak traktowani byli pracownicy plantacji należących do Holenderskiej Kompanii Handlowej działającej w Indonezji. Havelaar zostawił swój świat, żeby pomagać Indonezyjczykom. Książka była jednym z pierwszych manifestów wskazujących wprost, że bogactwo Europy oparte jest na wyzysku.

Podstawy moralne ruchów Fair Trade są więc bardzo wyraziste. W połowie lat 60. XX wieku w Wielkiej Brytanii pojawiła się pierwsza poważna organizacja zajmująca się nie tylko opracowywaniem raportów,

ale również handlem. Pod koniec lat 60. w Holandii powstał WorldShop, który wkrótce otworzył sieć przedstawicielstw także w Niemczech zachodnich. Sklepy te okazały się jednak przedsięwzięciem nazbyt nisowym, kojarzonym z subkulturą, dlatego w 1988 r. Fairtrade Labelling Organizations International wprowadziła do tradycyjnych sklepów pierwsze produkty oznaczone logotypem uczciwego handlu. Logo zawierało słowa: Max Havelaar. W 2002 r. zastąpiono je tym dzisiejszym. W ciągu ostatnich lat organizacje uczciwego handlu łączyły się i dzieliły, głównie z powodu zasad przyznawania różnych certyfikatów Fair Trade, ale zapewne także ze względów finansowych. W XXI w. handel produktami uczciwymi zaczął się rozwijać na ogromną skalę. W 2000 r. organizacje fair trade sprzedały dobra o wartości ok. 220 mln euro, a w 2015 r. sama

tylko kawa fair trade kosztowała 8 mld zł. Dlatego już od początku tego wieku próbowano analizować, jaki jest realny wpływ przynależności do ruchu Fair Trade na komfort i jakość życia rolników, i sprawdzić, ile pozytywnych zmian może przynieść kampania wizerunkowa.

Jeden z podstawowych zarzutów dotyczy tego, że organizacja kontroluje ceny skupu produktów i sprzedaje do sieci handlowych oraz sklepów, ale nie weryfikuje cen, jakie pojawiają się na metkach. W efekcie nierzadkie są przypadki, gdy połowa ceny sklepowej to marża sprzedawcy detalicznego. Klienci często są gotowi zapłacić dużo więcej za gwarancję uczciwie wytworzonego produktu, ale rolnik otrzymuje kwotę niewiele większą, a zdarza się, że niższą niż na tradycyjnym rynku.

Fair Trade nie analizuje też wystarczająco szczegółowo danych dotyczących wydatków rolników i spółdzielni, nie ma więc dokładnych informacji o tym, jak wykorzystywane są premie wynikające z funkcjonowania w ramach Fair Trade. Z kolei zestawienia pokazujące koszty przynależności do sieci Fair Trade (składki na marketing, certyfikację, pracę zarządu spółdzielni itp.) mówią, że dla producentów są one bardzo dużym obciążeniem. Ostatecznie nie ma więc dowodów, że rolnicy zrzeszeni w Fair Trade mają wyższe dochody niż ci

uczestniczący w rynku tradycyjnym. Badania z Tanzanii pokazały nawet, że dochód roczny rolników pracujących dla wielkich firm jest większy niż producentów Fair Trade.

Krytycy wskazują również, że realne korzyści z uczestnictwa w sieci Fair Trade mają producenci z krajów średnio- i wysokorozwiniętych, dlatego w Kostaryce czy Ekwadorze uczciwy handel przyniósł rolnikom poprawę bytu, a w Kenii czy Ghanie nadal klepią biedę jak przed wieloma dekadami.

Rozliczenia działalności fundacji spod znaku Max Havelaar to jednak niemal wyłącznie strona finansowa. Analiza wpływu uczciwego handlu na życie rolników dotyczy przy tym tylko krótkich lub średnich okre-

sów. Organizacji z 20-letnim stażem, jak AsoGuabo, jest niewiele. Jednak krytyka może też pokazywać zalety Fairtrade. Organizacja za każdym razem podkreśla, że wyższe ceny w sklepach to nie forma jałmużny, ale realia uczciwego handlu, zaś jej działalność opiera się nie tylko na podnoszeniu dochodów, ale także na edukowaniu. Lepsze efekty w bogatszych krajach są konsekwencją wyższej kultury ekonomicznej, rolnicy z Ameryki Łacińskiej dysponują większym kapitałem kulturowym i finansowym.

Krytyka Fairtrade wskazuje również na słabości marketingu organizacji – jest drogi i wciąż niewystarczająco efektywny. Mimo tych niedostatków zasady certyfikacji Fairtrade z wolna przyjmowane są jednak przez kolejne firmy, a pensje robotników na plantacjach systematycznie rosną.

Bartosz Piąt

## Założ to jeszcze raz

**Polacy wydają na ubrania o wiele mniej niż mieszkańcy Europy Zachodniej. Mniej też ich kupują. Bardzo chętnie wybierają za to ubrania z ciucholandów. Już niedługo może się okazać, że to zaleta, a nie problem.**

Co roku Polacy wydają na ubrania więcej. Według szacunków Euromonitor International wykonanych dla „Rzeczpospolitej” w 2016 r. przeznaczaliśmy na odzież około 960 zł na osobę, czyli łącznie blisko 37 mld zł. Z tej kwoty mniej więcej 6 mld zł wydaliśmy w ciucholandach.

Z kolei dane Euler Hermes wskazują, że światowy rynek tekstyliów jest wart ok. 440 mld dolarów. Statystyczny Brytyjczyk rocznie wydaje na odzież ok. 1200 funtów, Amerykanin ok. 1600 dolarów. Trudno odnieść to do polskiej pensji, ale jedno jest pewne: kupujemy mniej. Mniej też wyrzucamy. Statystyczny Holender pozbywa się rocznie ok. 12 kg ubrań. Polacy wyrzucają przeciętnie 5 kg. USA mają pod tym względem szokujący wynik: 30 kg, w sumie

8 mld kg ubrań wyrzucanych na śmietnik rocznie. Z tego tylko 15 proc. wykorzystywanych jest powtórnie dzięki recyklingowi (dane szwedzkiej firmy H&M).

W skali światowej wyniki dotyczące odzysku nie są lepsze. Z 90 mln ton produkowanych rocznie tekstyliów (czyli ok. 80 mld sztuk ubrań) co roku na wysypiska lub do spalarni odpadów trafia 20 mln ton (to dane wyłącznie z Unii Europejskiej i USA) i dzieje się tak, mimo że 95 proc. tych wyrzucanych ubrań nadaje się do przetworzenia. – Popyt na ubrania jest tak rozdmuchany, że przemysł tekstylny stał się już bardziej szkodliwy dla przyrody niż przemysł zajmujący się obróbką ropy naftowej – mówiła mi niedawno Jade Wilting z holenderskiej organizacji Circle Economy. – Do produkcji kilograma bawełny zużywa się ponad 10 tys. litrów wody, a to tylko jedno ze źródeł problemu. Pozostaje skażenie środowiska ściekami poprodukcyjnymi, zużycie energii, a wszystko to w krajach takich jak Indie czy Chiny, gdzie standardy środowiskowe nader często są ignorowane – dodała. Z danych Tecnon OrbiChem wynika, że od roku 1980 produkcja tekstyliów wzrosła aż trzykrotnie, choć liczba ludzi na świecie ledwo się podwoiła.

Circle Economy wspiera więc przedsiębiorców zajmujących się rynkiem ubrań w poszukiwaniu rentownych sposobów przetwarzania tekstyliów. Organizacja Reshare z nieużywanych ubrań wojskowych szyje koce dla organizacji zajmujących się pomocą humanitarną (w ten sposób redukuje zużycie wody o 87 proc. w porównaniu do koniecznego przy produkcji koców nowych). Firmie Reblend udało się wdrożyć technologię, która z 7 ton ubrań pozwoliła przygotować 6 ton nowej tkaniny (62 proc. mniej wody, 33 proc. mniej prądu). Jednak wprowadzenie takiego materiału na rynek nie jest łatwe. – Próbowaliśmy sprzedać dżinsy uszyte z materiału pochodzącego z recyklingu. Z testów, które prowadziliśmy, wynikało, że nikt nie jest w stanie odróżnić spodni uszytych z naszego materiału od tych z bawełny prosto od rolnika – opowiada przedstawiciel firmy Sympany. – W sklepie te dżinsy, oznaczone jako wyprodukowane na bazie materiału z recyklingu, prawie w ogóle nie chciały się sprzedawać. Ludzie ewidentnie czują jakiś dyskomfort z tym związany.

O wiele prościej jest przekonywać Europejczyków, by sprawdzali, czy ubrania, które kupują, wyprodukowano w sposób uczciwy. Coraz łatwiej przebijać się z marką

Fair Wear (fundacja kontrolująca warunki pracy w szwalniach, szczególnie na Dalekim Wschodzie, i przyznająca certyfikaty), do gazet i głównych wydań wiadomości częściej wyciekają informacje o złych warunkach, w jakich pracują mieszkańcy Bangladeszu, Indii, Myanmarze czy innych krajów.

Choć opinia publiczna bardzo często reaguje oburzeniem, swoich nawyków konsumenckich wcale nie zmienia z równym zapałem. Amerykańska marka GAP w ciągu ostatnich 25 lat kilkakrotnie stawała się obiektem dziennikarskich śledztw ujawniających liczne nadużycia i niesprawiedliwości. Za każdym razem przedstawiciele obiecywali zmiany na lepsze. Od tamtej pory firma nieustannie zwiększa obroty. Gdy w 2013 r. zaważyła się szwalnia Rana Plaza w Bangladeszu, okazało się, że GAP produkował tam swoje ubrania. Na tym tle fakt, że ponad 1/3 Polaków (wg danych GUS-u) systematycznie odwiedza ciucholandy, a więc zakłada ubrania używane lub uznane przez kogoś za odrzuty, nabiera cech cnoty.

pi

# WYSPY I ARCHIPELAGI

*Świat zawsze oplatały sieci: instytucjonalne, państwowe, komercyjne.  
Dziś obserwujemy dodatkowo rozrost ruchów oddolnych i aktywność jednostek,  
które – opierając się na wspólnych wartościach – łączą się i zmieniają świat,  
jak Airbnb, woŚP czy Emmanuel Macron.*



Ktoś w końcu dostrzegł, że nie wszyscy turyści są fanami hoteli. Nie brakuje też ludzi chętnych do wynajmowania innym swoich mieszkań. Tak powstał serwis Airbnb, który błyskawicznie stał się największym „hotelem” na świecie, nie budując ani jednego własnego pokoju. Z rozproszonych po świecie pokoi i mieszkań stworzył wirtualną sieć hotelową, a z ich właścicieli zrobił obsługę. Zaletą tej sieci był nie tylko nowatorski system rezerwacji czy atrakcyjne ceny. Gdy Airbnb zaczynało ekspansję, kusiło także możliwością poznania innych ludzi, ich kultur i usłyszenia o tym, jakie miejsca polecają mieszkańcy, a nie punkty informacyjne albo zestandaryzowane przewodniki po odwiedzanej akurat miejscowości. Budując tę nieformalną sieć, firma zupełnie zaskoczyła tradycyjną branżę hotelarską i w ciągu kilku lat zmieniła oblicza miast na całym globie. W połączeniu z tanimi liniami lotniczymi zrewolucjonizowała światową turystykę. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Z jednej strony zdrzął rynek hotelarski, a ceny najmu nieruchomości poszybowały w górę tak bardzo, że zaczęto brakować przystępnych cenowo lokali dla mieszkańców miast (przykład Berlina), z drugiej natomiast – platforma dała okazję do zarobku i stworzyła miejsca pracy dla bardzo wielu osób.

Jeszcze bardziej kontrowersyjnym przedsięwzięciem jest Uber. Jego założyciele firmy szybko zauważyli, że właściciele samochodów chętnie zarobią na podwożeniu innych. Efekt? W kilka lat Uber stał się największą na świecie „firmą taksówkową” (choć wciąż nie jest przedsięwzięciem dochodowym). Jako model biznesowy wypalił niemal bez żadnych inwestycji w infrastrukturę – firma nie kupiła ani jednego samochodu. Długo można dyskutować o blaskach i cieniach tego rozwiązania, ale jego popularności zaprzeczyć się nie da.

Takich rozwiązań będzie coraz więcej. Pojawiają się w różnych formach: jako biznesy, zorganizowane społeczności lub nowe płaszczyzny współpracy między różnymi grupami interesów.

Naszą cywilizację zawsze oplatały sieci. Był związek hanzeatycki, byli średniowieczni bankierzy, którzy porozumiewali się ze swoimi odpowiednikami w innych miastach, by podnieść komfort podróży kupców i nie narażać ich na niebezpieczeństwo przewożenia ówczesnych form gotówki. Wieki później doczekaliśmy się sieci połączeń lotniczych i morskich, sieci energetycznych, telekomunikacyjnych, gazowych, drogowych. Następnie sieci sklepów, hoteli, stacji benzynowych, a także sieci instytucjonalnych, składających się z posterunków policji, oddziałów izb skarbowych czy szpitali.

W zasadzie świat można przedstawić jako jedną wielką sieć połączeń, zwłaszcza jeśli uwzględnimy internet.



Taka perspektywa uświadamia, w jaki sposób ład międzynarodowy (czyli sieć regulacji, powiązań, zasad i standardów) umożliwi globalny rozwój naszej cywilizacji i zmienia społeczeństwa z lokalnych w ponadgraniczne wspólnoty wartości.

Istniejące do tej pory sieci formalne, klasyczne, zinstytucjonalizowane, bazujące na regułach ustalonych przez państwa i korporacje, zaczynają konkurować z sieciami nowej generacji – nazwijmy je w skrócie nieformalnymi, jak wspomniane Airbnb czy Uber.

Dzięki mediom społecznościowym i innym formom globalnej komunikacji nowo powstające wspólnoty wypracowują wspólny światopogląd. Trwa nieustanna wymiana: nie tylko przepływ towarów i migracje ludzi, ale przede wszystkim transfer myśli, eksport i import idei, koncepcji, kultur oraz zasad. Tak powstają współczesne wyspy – oddolne inicjatywy budowane na wartościach wytwarzanych lokalnie, ale też będących elementami większej, regionalnej (krajowej lub międzynarodowej) wymiany informacji, wrażeń oraz wartości.

Wyspy, jeśli tylko nawiązują i utrzymują ze sobą kontakt, tworzą archipelagi. Archipelagi wartości. Pomiedzy wyspami dochodzi do przepływu wiedzy, wzajemnej inspiracji, a czasem – do znacznie bardziej skompli-



kowanych procesów społecznych, prowadzących do tworzenia się zaawansowanej sieci, społeczności, przemienia lub grupy skupionej wokół określonego zestawu wartości wspólnych.

Znane z dotychczasowego świata sieci formalne – czy to korporacyjne, czy państwowe – instytucje, ich placówki, oddziały, przedstawicielstwa, sklepy, urzędy i przystanki zaczynają dziś konkurować z archipelagami, a więc z sieciami wysp – instytucjami nowej generacji. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy archipelagi eksplodowały wokół nas.

Najciekawsze wydają się dziś archipelagi wartości tworzące się wokół licznych NGO, które wykorzystują prezentowane wartości do zdobywania funduszy (mikrogranty, *crowdfunding*). Takim archipelagiem jest choćby Greenpeace – utrzymywany przez swoją społeczność, zdolny do skutecznego działania nawet w ekstremalnie trudnych warunkach, w dowolnym miejscu na świecie.

Archipelagi – mniej lub bardziej trwałe – mogą się także tworzyć wokół znanych ludzi. Dawne grupy okłaskujących fanów przeradzają się w mikrospołeczności zdolne do prowadzenia skomplikowanych operacji. Moim ulubionym przykładem takiego archipelagu

jest zbudowana wokół Jurka Owsiaaka społeczność Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Czymś w rodzaju archipelagu stał się – przynajmniej na jakiś czas – francuski ruch *En Marche!*, który wyniósł do władzy prezydenta Macrona.

Teoria „wysp i archipelagów”, nad którą pracujemy wraz z prof. Jerzym Hausnerem od 2014 roku, stopniowo dojrzewa. Idea ta głęboko mnie fascynuje, dlatego postanowiłem przetestować ją w praktyce.

Próby zacząłem w 2015 roku od projektu filmowego „Najpiękniejsze polskie drogi”, który zrealizowaliśmy wspólnie z Mazdą Polska. Powstały wtedy naprawdę niezwykle impresje filmowe, pokazujące Polskę jako raj dla kierowców, którzy kochają niespieszną jazdę samochodem – dla przyjemności, nabrania oddechu, w pięknych okolicznościach. Takie hobby nazywa się *slow drivingiem*. Filmy te można zobaczyć na stronie <[www.slowroad.pl/piekne-drogi](http://www.slowroad.pl/piekne-drogi)>.

Odkrycie *slow drivingu* nieuchronnie nakierowało nas na cały styl życia nazywany *slow life*. Zbiór wartości składających się na tę filozofię uznałem nie tylko za interesujący mnie osobiście, ale przede wszystkim mający potencjał, mogący zainicjować archipelag wysp. To naprawdę fascynująca przygoda: wprowadzać re-

guły nowo opracowanej teorii w praktykę! Projekt był pionierski, a przy tym dawał wielką satysfakcję z wykonywanej przy nim pracy. Właśnie takie podejście do marketingu jest moim zdaniem przyszłością. Jeśli mam rację, będzie to bardzo dobra przyszłość.

Jednak nie z każdą marką udałoby się taki projekt zrealizować. Zabierając się za współpracę z Mazdą, uznaliśmy, że filozofia *slow life* będzie atrakcyjna dla ludzi, których chcemy przekonać do zakupu samochodów tej firmy. Mazda od lat buduje świat swej marki, opierając się m.in. na filozofii *kodo* (to tzw. dusza ruchu, określenie japońskiej szkoły projektowania dynamicznych brył pojazdów), interesując się dizajnem (firma inwestuje w prestiżowy konkurs Mazda Design). Znana jest też z promowania jazdy autem dla samej przyjemności i radości prowadzenia. Z danych, którymi dysponowaliśmy, wynikało też, że ludzie kupujący mazdy są najczęściej wrażliwi na piękno, szukają dojrzałych form spędzania czasu wolnego. Stąd wziął się pomysł na projekt „Slow Road”.

Slow roadowa wyspa to miejsce w stylu *slow*: artystyczna agroturystyka, pięknie odremontowana stodoła z warsztatem rękodzieła, górską stacją rowerową prowadzoną przez pasjonata, kuchnia kierująca się zasadami *slow food*.

Zaczęliśmy szukać takich wysp w całej Polsce. W ciągu niespełna 2 lat odwiedziliśmy ich ponad 600. Wszystkie obiekty poddaliśmy dokładnej analizie, a te, które wybrało jury (zasiadają w nim przedstawiciele Polskiej Organizacji Turystycznej, urzędów marszałkowskich i redakcji czasopism, m.in.: „National Geographic”, „Kukbuka”, magazynu „Slow Life”), otrzymały rekomendacje Slow Road.

Rekomendacje Slow Road dają dostęp do bezpłatnego programu promocji, co pomaga zwiększać rentowność prowadzenia wartościowych, choć trudnych biznesów. Slow Road propaguje miejsca „daleko od szosy”, naprawdę oryginalne, piękne, zrodzone z pasji i dzięki temu wiarygodne.

Przez niecałe 2 lata stworzyliśmy z naszych wysp slow roadowy archipelag. Dziś służy on społeczności ponad 23 tys. osób – to ci, którzy jeżdżą naszymi trasami, by zwiedzać, odpoczywać, smakować i spędzać naprawdę wolny czas w najlepszych według nas miejscach pod słońcem. Zresztą, co tu więcej pisać: najlepiej zobaczcie sami na Facebooku, Instagramie czy www:

<https://www.facebook.com/ProjektSlowRoad/>

Instagram: [projekt\\_slowroad](#)

[www.slowroad.pl](http://www.slowroad.pl)

Mateusz Zmyślony



fotografie: Mikołaj Gospodarek



MARKA-KULTURA

**MAŁOPOLSKA**  
INNOWACYJNA

# KORALE, GÓRALE I HIGH-TECH

**MAŁOPOLSKA**  
EUROPEJSKI REGION  
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

[www.businessinmalopolska.pl](http://www.businessinmalopolska.pl)

[www.malopolska.pl](http://www.malopolska.pl)





**Lato 1990 r.** – W Dublinie wprowadzony zostaje zakaz ogrzewania budynków węglem. W ciągu kilku lat dwukrotnie spada liczba osób z chorobami układu krążenia. W 1995 r. sprzedaż detaliczna węgla w Irlandii jest o połowę mniejsza niż pięć lat wcześniej – Irlandczykom nadal jest ciepło.

**Zima 1982 r.** – W Dublinie z powodu tzw. epizodu smogowego umierają dziesiątki ludzi. W ciągu następnej dekady w Irlandii dochodzi do prawdziwej katastrofy smogowej. Zimą stężenia pyłów sięgają tam 2000 mikrogramów (obecnie dopuszczana prawem unijnym norma to 50 mikrogramów). Ze względów ekonomicznych większość ludzi ogrzewa domy węglem niskiej jakości.

**7 stycznia 1981 r.** – Na fali żądań ludzi związanych z pierwszą Solidarnością, dzięki działaniom profesora Władysława Grodzińskiego (Polski Klub Ekologiczny) oraz naciskom prezydenta Krakowa Józefa Gajewicza huta aluminium w Skawinie, której okolice stały się obszarem ekologicznej katastrofy, zostaje zamknięta.

**Druga połowa lat 70. XX w.** – Konserwatorzy zabytków w Krakowie alarmują, że kwaśne deszcze niszczą najcenniejsze budynki historyczne. Zanieczyszczenia deformują rzeźby i wnikają w tynki, powodując ich kruwienie. Za winowajców uznaje się kombinat w Nowej Hucie, hutę aluminium w Skawinie i domowe piece na węgiel.

**Lato 1956 r.** – Brytyjski parlament uchwała *Clean Air Act*, pierwszy na świecie dokument prawny regulujący kwestie spalania paliw stałych. Wyznacza on m.in. obszary, na których całkowicie zabronione są paliwa dymiące. To dlatego kominki w Wielkiej Brytanii są dziś na gaz.

**5-9 grudnia 1952 r.** – Wielki londyński smog ze spalin pochodzących z pieców i samochodów zabija 4 tys. osób. W następnych miesiącach na choroby układu oddechowego lub układu krążenia umiera kolejnych 8 tys. osób.



**Pierwsza połowa lat 90. XX w.** – Mieszkańcy Krakowa zamieniają swoje piece węglowe na piece elektryczne. Inwestycjom sprzyja program wykorzystujący m.in. fundusze amerykańskie. Właściciele domów w okolicach Bielska-Białej masowo wymieniają piece węglowe na gazowe. Jest czystiej i wygodniej.

**1 maja 2004 r.** – Polska wstępuje do Unii Europejskiej. Likwidacji ulegają przepisy regulujące jakość sprzedawanych detalicznie paliw węglowych. W składach węgla pojawiają się zakazane wcześniej (ze względu na katastrofalnie wysoki udział pyłów i siarki) muły, floty i miazły węglowe. Drobny węgiel zyskuje miano ekogroszku. Stężenia pyłów nad polskimi miastami zaczynają gwałtownie rosnąć. Polska niweluje stare przepisy i obiecuje wprowadzić nowe. Nie robi tego jednak do dziś.

**Pierwsza dekada XXI w.** – Polacy coraz częściej wymieniają piece gazowe i elektryczne na piece węglowe. Prąd i gaz podrożały, ekonomiczniej jest ogrzewać węglem, zwłaszcza odpadami węglowymi, tańszymi trzy lub czterokrotnie od jakościowego węgla.

**2009 r.** – W życie wchodzi odświeżona unijna dyrektywa Ecodesign określająca standardy energetyczne i emisyjne dla budynków oraz urządzeń. Zgodnie z nią po 2023 r. na obszarze Unii Europejskiej nie będzie wolno sprzedawać kotłów węglowych klasy niższej niż Ecodesign (wyższej niż obecnie najwyższa klasa 5).

**Jesień 2012 r.** – W Krakowie rozpoczyna działalność Krakowski Alarm Smogowy. Założyciele ruchu mają dość wszechobecnego ignorowania problemu, o którym inspektorzy ochrony środowiska alarmują od blisko dekady. W kolejnych miesiącach na ulicach pojawiają się reklamy zewnętrzne informujące o kłopotach związanych z zanieczyszczeniem powietrza. Manifestują mieszkańcy, którzy zrozumieli, że ich problemy zdrowotne będą się tylko pogłębiać. Prezydent Krakowa wspiera ideę, ale zastrzega, że nie widzi alternatywy dla ogrzewających domy węglem, ponieważ miasto nie ma pieniędzy na zapewnienie im innego źródła ciepła.

**25 listopada 2013 r.** – Sejmik Małopolski przyjmuje pierwszą w Polsce uchwałę antysmogową, która zakazuje w Krakowie ogrzewania węglem od 2018 roku.



Niestety latem 2014 r. uchwała zostaje uchylona przez sąd wojewódzki, a potem przez Naczelny Sąd Administracyjny – ustawa bazowa jest nieprecyzyjna.

**Kwiecień 2015 r.** – Krakowskie Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania przeprowadza eksperyment – regularnie polewa i czyści najważniejszą arterię miejską. Poziom zapylenia w ciągu dnia spada. Od tego czasu regulą staje się polewanie ulic, by ograniczyć ilość zanieczyszczeń wzbijanych przez auta na ulicach miasta.

**Sierpień 2015 r.** – Sejm przyjmuje poprawione przepisy prawa środowiskowego, co pozwala na precyzyjne określenie, jakie paliwa i urządzenia są dozwolone na danych obszarach. To wielki dzień dla posła Tadeusza Arkitę z Małopolski, który przez rok forsował zmianę przepisów. Niestety nie udaje się utworzyć podobnych rozwiązań ograniczających ruch samochodowy również silnie zanieczyszczający powietrze. Auta to obok pieców główny truciciel polskich miast. W październiku prezydent Andrzej Duda podpisuje ustawę, która nie oznacza jednak zakazu sprzedaży najgorszych gatunków węgla.

**Grudzień 2015 r.** – Sejmik po raz drugi przyjmuje uchwałę antysmogową dla Krakowa (bazując na nowych przepisach) i zapowiada podobny dokument dla całego województwa. Ma on dotyczyć jakości pieców i węgla używanego do ogrzewania domów. W Krakowie już wiadomo, że trzeba zlikwidować ok. 30 tys. pieców.

**Grudzień 2016 r.** – Z badań opinii społecznej wynika, że Brytyjczycy chcą kolejnego zaostrzenia *Clean Air Act*. Są przekonani, że obecny poziom zanieczyszczeń źle wpływa na ich zdrowie.

**Grudzień 2016 r.** – W Krakowie do likwidacji pozostało ok. 16 tys. pieców węglowych. Mieszkańcy złożyli już 8 tys. wniosków o dotację. Z 5,6 tys. z tych osób miasto zawarło umowy. W hipermarketach trwają wielkie wyprzedaże pieców starej generacji.

**Kwiecień 2017 r.** – Sejmik Województwa Opolskiego postanawia wykluczyć z rynku floty i muły oraz węgiel brunatny. Przygotowuje projekt uchwały antysmogowej, którą chce wdrożyć do maja 2018 r.



**Czerwiec 2017 r.** – Samorząd województwa wielkopolskiego oddaje do konsultacji uchwałę antysmogową dotyczącą swojego obszaru. Planuje ją przyjąć jesienią tego roku.

**1 lipca 2017 r.** – Na terenie Małopolski zaczyna obowiązywać uchwała antysmogowa. Do sprzedaży na obszarze województwa nie dopuszcza się mułów ani flotów; w domach nie można montować piecy węglowych poniżej 5 klasy (w laboratorium emitują 10-20 razy mniej zanieczyszczeń niż klasyczny piec, do którego można wrzucić wszystko).

**Sierpień 2017 r.** – Krakowskie MPO kupuje specjalny odkurzacz do ulic Starego Miasta. Ma on pomóc ograniczyć wzbijanie się pyłów. Państwowa spółka energetyczno-górnicza PGG ogłasza koniec sprzedaży detalicznej flotów i mułów węglowych. Znalazła na nie nabywcę, który spali je w bezpiecznych warunkach. Wszyscy czekają, co zrobią inne spółki węglowe: JSW czy Tauron.

**18 sierpnia 2017 r.** – Koniec konsultacji społecznych dotyczących uchwały antysmogowej w województwie mazowieckim.

**1 września 2017 r.** – Województwo śląskie ma działającą uchwałę antysmogową. W ciągu dekady chce zlikwidować najbardziej szkodliwe piece klas niższych niż 5. Dziś funkcjonuje ich w regionie ok. 700 tys. To wielkie wyzwanie dla samorządu.

**1 września 2019 r.** – Po tym dniu w Krakowie nie będzie można ogrzewać domów węglem ani drewnem, (ani w piecach, ani w kominkach). Dopuszczalne będą jedynie gaz i lekki olej opałowy.

**1 stycznia 2023 r.** – W Małopolsce mają ulec likwidacji wszystkie stare piece z wyjątkiem pieców klasy 3 i 4, dla których przewidziano okres przejściowy do końca 2026 r. Do tego czasu kominki mają osiągnąć sprawność cieplną na poziomie co najmniej 80 proc.

# DROGA DO CZYSTEGO POWIETRZA



fotografia: archiwum Krakowskiego Holdingu Komunalnego

# Mniej odpadów, więcej surowców

*W Polsce odpady nadal traktowane są przez samorzady bardziej jako kłopot niż potencjał. Wyrzucamy lekką ręką, bo wysypiska śmieci są tanie. Na mapie kraju jest jednak kilka wyjątków, które zbliżają nas do standardów europejskich.*

W 2010 r. 85 proc. tego, co Polacy wrzucili do kosza na śmieci pod domem lub firmą, było wywożone na wysypiska odpadów. Resztę udawało się kierować do recyklingu, kompostować lub spalać w cementowniach. Taki stan rzeczy był nie do zaakceptowania, ale żadne wysiłki organizacji odzysku czy władz samorządowych nie pomagały. Konieczna była zmiana w prawie. Dzięki reformie, która weszła w życie w lipcu 2013 r. (polegającej na oddaniu zarządzania odpadami samorządom) wreszcie doszło do przełomu. Samorzady mogły wymusić sortowanie odpadów choćby na podstawowym poziomie, same zaś zostały zmuszone do organizacji profesjonalnych systemów gospodarowania odpadami, z czego do dziś część się nie wywiązuje.

To wystarczyło, by w 2015 r. do przetworzenia skierowano już 26 proc. odpadów. Była to błyskawiczna poprawa, która dowodziła, że zmiana przepisów miała sens. To i tak nadal słaby wynik, bo w 2020 r. mamy wywozić na wysypiska nie więcej niż połowę odpadów, zobowiązują nas do tego bowiem regulacje unijne. W roku 2030 składowanie mamy natomiast ograniczyć niemal do zera – to wyzwanie dla każdego kraju, a co dopiero dla Polski.

Wskaźniki poziomu recyklingu będą się jeszcze poprawiały siłą rozpędu – głównie dzięki kilku miastom, które stały się polskimi liderami zmian w gospodarce odpadami. W roku 2017 w naszym kraju spalonych zostanie ok. 750 tys. z 10,5 mln ton powstających odpadów – pochłona je elektrociepłownie w Bydgoszczy, Koninie, Poznaniu, Szczecinie i Krakowie. Wskaźnik odzysku lub przetworzenia podniesie się więc do poziomu ok. 32 proc. i zastęnie tam na długo, jeśli do polskich prymusów w gospodarce odpadami nie dołączą kolejne samorzady.

Bez wątplenia do grupy liderów zalicza się Kraków, który swoje podejście do odpadów wzoruje na doświadczeniach austriackich, niemieckich i skandynawskich. Efektem kilkunastu lat prac (które przy-

spieszyły oczywiście latem 2013 r.) będą wyniki z roku 2017: z ok. 340 tys. ton odpadów powstających rocznie w Krakowie spalonych zostanie ok. 200 tys. (to głównie zawartość kubłów na odpadki zmieszane), zaś ponad 80 tys. będzie kierowane do recyklingu. Jeśli dołożymy do tego ponad 30 tys. ton kompostowanych odpadów zielonych, wszystko wskazuje, że w roku 2017 Kraków na wysypisko wyrzuci nie więcej niż 30 tys. ton odpadów, w tym zestalone betonem popioły ze spalarni (na zdjęciu po lewej), na które jak na razie nie znalaziono chętnych. Jeszcze dziesięć lat temu wyniki były odwrotne.

Co takiego zrobił Kraków? Wykorzystując siłę swych komunalnych przedsiębiorstw, systematycznie inwestował – choćby w spalarnię osadów w oczyszczalni ścieków (zaczęła działać kilka lat przed elektrociepłownią spalającą odpady domowe), w urzędzenia do kompostowania, w zakład do demontażu odpadów wielkogabarytowych i sprzętu elektronicznego.

Ważna jest sortownia odpadów, która podnosi jakość tego, co krakowianie uznają za surowce wtórne – mimo edukacji i powszechnej woli do sortowania ok. 20 proc. zawartości kubłów na surowce wtórne to nadal odpady niewłaściwe.

Istotną okazała się też lamusownia, czyli punkt odbioru odpadów, które nie mieszczą się w kubełku pod zlewem albo zalegają w piwnicy (meble, opony, akumulatory, sprzęt elektroniczny itp.). Wraz z akcjami odbioru takich odpadów z ulicy – z wystawki – pomogła zapanować nad dzikimi wysypiskami śmieci porzucanymi po całym mieście.

W większości polskich miast nie działa się jednak tak kompleksowo. Wrocław nie zdecydował się na spalanie odpadów, a jednocześnie dał wolną rękę przedsiębiorcom prywatnym. Warszawa także wstrzymała się z budową spalarni (jedną małą, przestarzałą już ma) i choć oddała władzę nad systemem instytucji komunalnej,

nie wyposażała jej w odpowiednie instalacje – odzysk odpadów utrzymuje się tam więc na bardzo niskim poziomie. To tym bardziej przykre, bo sama stolica rocznie wytwarza ok. miliona ton odpadów.

Co Kraków może zrobić, by się poprawić? Wciąż bardzo wiele. Mieszkańcy nadal potrzebują motywacji do sortowania i prostych porad, jak to robić dobrze. Dodatkową komplikacją będzie rozporządzenie Ministerstwa Środowiska, które chce, by Polacy dzielili odpady na: biologiczne, zmieszane, szkło, papier oraz plastiki z metalami.

Obecny system gospodarki odpadami w Krakowie nie przewiduje zajmowania się na większą skalę odpadkami gnijącymi osobno. Sam Kraków produkuje ich za mało, by opłacało się budować np. biogazownię, zaś kompostowanie mija się z celem, bo pod uzyskaniem metanu masa i tak jest spalana. Dopiero kiedy elektrociepłownia w Krakowie zacznie przyjmować odpady także z sąsiednich gmin i dojdzie do włączenia ich w krakowski system, będzie można myśleć o wspólnej biogazowni.

Nadal brakuje też dodatkowych lamusowni – oba punkty odbioru nietypowych odpadów z perspektywy wielu mieszkańców znajdują się zbyt daleko, co zniechęca do korzystania z tego rozwiązania. Brak takich punktów jest też największym grzechem innych gmin w Polsce, szczególnie na prowincji, gdzie samorzady tworzą jeden punkt dla całej gminy lub powiatu wyłącznie po to, by wypełnić wymogi formalne. Efekt jest taki, że prawie nikt z nich nie korzysta.

Na razie Kraków, tak jak Wiedeń, może się pochwalić, że spalając odpady, zasila w ciepło ponad 20 proc. mieszkań w swoim obrębie, zaś ilość prądu, która powstaje przy spalaniu odpadów, pokrywa się w przybliżeniu z zapotrzebowaniem całej sieci tramwajowej.

pił





# Samowystarczalni z Amsterdamu

**Amsterdam wprowadza rewolucyjne rozwiązania: buduje domy z klocków, planuje przejęć prawo do montażu żarówek w prywatnych mieszkaniach i korzystać wyłącznie z zielonej energii. To nie żart. W tym mieście nawet asfalt pochodzi z recyklingu.**

Wspólnota europejska stawia sobie coraz surowsze wymagania dotyczące energetyki (z roku na rok w UE zastrzane są limity dozwolonej emisji dwutlenku węgla), polityki postępowania z odpadami (coraz wyższe oczekiwania, jeśli chodzi o poziom odzysku surowców wtórnych), ograniczania zanieczyszczeń powietrza (stąd dyrektywa Ecodesign, która od 2022 r. ma m.in. wyeliminować spalanie węgla w domowych piecach) i podnosić standardy energooszczędności nowo powstających budynków).

To wszystko grube dokumenty i żmudne wyciszenia, niezbyt interesujące dla statystycznego mieszkańca Unii Europejskiej, w Holandii postanowili więc... postawić sobie jeszcze trudniejsze wyzwanie: do roku 2050 chcą stać się krajem o gospodarce zamkniętego obiegu.

Od 2 lat wydają spore pieniądze na promowanie tej idei i wśród zwykłych obywateli, i wśród przedsiębiorców. Choć Holendrzy podchodzą do regulacji zmniejszających wpływ człowieka na przyrodę z o wiele większym zrozumieniem niż Polacy, to nawet ich nie tak łatwo przekonać do poddania się kolejnym restrykcjom. Dlatego postawienie na gospodarkę okrężną (po angielsku brzmi to lepiej: *circular economy*) pokazywane jest jako szansa, a nie ograniczenie – szansa przede wszystkim dla przedsiębiorców, którzy uczestnicząc w krajowych programach rozwoju gospodarki okrężnej, zarabiają na tym, co inni uważają za kij wkładany w szprychy biznesu.

Mer Amsterdamu, Eberhard van der Laan, przekonuje, że te plany wpłyną na rozwój miasta. – Amsterdam ma się stać dla reszty świata przykładem, jak rozwiązy-

wać problemy komunikacyjne, dotyczące jakości życia i zrównoważonego rozwoju w sposób akceptowalny dla mieszkańców, innowacyjny i kulturalny.

## O CO CHODZI W ZAMKNIĘTYM OBIEGU

Ideę gospodarki zamkniętego obiegu najłatwiej wyjaśnić na przykładzie lasu albo zarządzania odpadami. Generalna zasada to utrzymanie energii, surowców, pieniędzy i innych wartości w obiegu jak najdłużej, a najlepiej bezustannie (co oczywiście zwykle pozostaje nieosiągalnym ideałem). Aby stale uzyskiwać

dochody z wycinanych drzew, przedsiębiorstwa, takie jak polskie Lasy Państwowe, muszą równolegle planować nasadzenia, żeby za 20, 30 czy 100 lat nadal istniał las będący źródłem drewna. Wycinka, za którą nie idą nasadzenia, doprowadziłaby do upadku firmy. Eksploatowanie zasobów ziemi bez próby ich odnowienia lub powtórnego wykorzystania skończyłoby się taką samą katastrofą, tyle że na skalę globalną. Najlepszym dowodem są raporty wskazujące, na jak długo wystarczy nam węgla czy rud metali. Mało kto zdaje sobie sprawę, że przy obecnym poziomie wydobycia znane nam zasoby miedzi skończą się ok. 2050 r.

Trochę bardziej skomplikowanym przykładem są odpady. Można je wyrzucić na wysypisko, marnując tym samym wszystkie surowce, energię i pracę włożoną w ich wyprodukowanie. W gospodarce okrężnej mamy natomiast dążyć do tego, by produkowane urządzenia dało się naprawiać, jeśli się popsują, a kiedy dożyją swego kresu, odzyskiwać materiały zużyte do ich produkcji i wykorzystywać je ponownie. Butelka po piwie powinna być więc wykorzystana wielokrotnie, zanim zostanie przetopiona w hucie, a pralka nadawać się do naprawy i być skonstruowana tak, by później stal, plastik i inne materiały z jej rozbiórki można było wykorzystać do produkcji nowego urządzenia.

Surowce da się odzyskiwać i przetwarzać dziesiątki razy, choć nie w nieskończoność, bo za każdym razem część materiałów ulega degradacji, trudno jest także utrzymać jakość tworzywa bez dodawania surowców wydobytych z ziemi. Nie sposób np. bez końca przetwarzać plastik, za każdym razem jest on mniej wytrzymały, niemożliwe jest utrzymanie jego pierwotnej kolorystyki.

Zupełnie nieodzyskiwalna jest z kolei energia. Istnieją jednak sposoby, by zużywać jej dużo mniej albo żeby tę, którą do tej pory traciiliśmy, wykorzystywać jeszcze do czegoś. Można przeanalizować to na przykładzie elektrowni węglowych. Wprowadzany przez nie do sieci prąd to tylko jakieś 40 proc. energii uzyskiwanej przy spalaniu węgla. Reszta pary idzie w gwizdek, dosłownie – elektrownie zużywają bowiem ogromne ilości wody, aby chłodzić urządzenia. Ciepło powstałe przy produkcji prądu jest niemal całkowicie marnowane i w postaci kłębow pary wyrzucane przez wielkie kominy lub odprowadzane w cieplej wodzie do przyrody. Jedną z metod zapobiegania takiemu marnotrawstwu są elektrociepłownie, które wykorzystują ciepło do ogrzewania naszych domów – i zużywają prawie 70 proc. energii zawartej w węglu. Szwedzkie firmy – w tym np. Fortum – dążą do tego, by odzyskać ciepło nawet z dymu, aż stanie się on tak zimny, że trzeba mu będzie pomóc w wydostaniu się przez komin. Dzięki temu udaje się im podnieść poziom efektywności użytkowania energii do ok. 85 proc. Ale na tym koniec.

W elektrociepłowniach Fortum węgiel zastępowany jest przy tym odpadami, których na razie nie umiemy przetworzyć. W ten sposób znacznie zmniejsza się zapotrzebowanie na nieodnawialną energię z węgla. Jednak aż tyle ciepła nie potrzebujemy. Dlatego np. prąd produkowany przez wiatraki czy panele fotowoltaiczne jest korzystny dla środowiska nie tylko ze względu na ograniczenie emisji zanieczyszczeń, ale także z powodu zmniejszenia do minimum utraty energii cieplej.

## JAK TO ZROBIĆ W MIEŚCIE?

Wszystkie te przykłady są dość proste do zrozumienia, kiedy opisuje się je w oderwaniu od systemu, w którym funkcjonują. Na czym jednak polega miasto gospodarki okrężnej? Jak to podejście zrealizować w przestrzeni, w której żyjemy?

Amsterdam podchodzi do sprawy poważnie i zabiera się za nową strategię dla miasta wielowymiarowo. Władze analizują więc obszar całego miasta, aby wskazać dzielnice, w których najszybciej będzie można wdrożyć nowe rozwiązania; rewidują gospodarkę odpadami (bez spalania odpadów w stolicy Holandii przetwarza się blisko 98 proc. tego, co wyrzucane jest do miejskich koszy); szukają metod zasilania miasta ze źródeł odnawialnych; a wreszcie – stawiają wymogi dotyczące nowych budynków powstających w mieście oraz wspierają modę na cyrkularność.

Szczególnie interesujące jest podejście do budownictwa. Tu jednak ważne zastrzeżenie: władze miejskie Amsterdamu mają w swoich rękach większość gruntów, zdecydowanie łatwiej im więc dyktować warunki rozwoju niż gminom polskim (choć przepisy dotyczące planowania przestrzennego są w obu krajach bardzo podobne).

Za kilka lat Amsterdam chce dopuszczać do realizacji wyłącznie budynki cyrkularne. Co to oznacza? Mają zużywać jak najmniej energii, a więc być świetnie zaizolowane oraz sterowane przez systemy komputerowe, które pozwolą na redukcję strat. Ważniejsze, że wszystko, co zostanie wykorzystane do budowy nowych mieszkań czy biur, ma się nadawać do łatwego recyklingu lub wręcz do powtórnego wykorzystania bez żadnego przetwarzania. Odpada więc np. izolowanie za pomocą styropianowych płyt. Zamiast nich stosowane będą gotowe panele, które za kilka lub kilkanaście lat można będzie zamontować na innej budowli.

Taka ambitna forma budownictwa jest dziś realizowana w mieszczącym się niedaleko lotniska Schiphol

kwartale biurowców Park 20|20 zbudowanych przez rodzinną firmę Delta Development. Każdy z nich jest bliski osiągnięcia standardu pasywnego, a więc zużywa dziesięciokrotnie mniej energii niż budynki tradycyjne, konstruowane jeszcze na początku tego wieku.

Biurowce powstały z elementów łatwych w recyklingu lub nadających się do powtórnego wykorzystania. – Kiedy dożyją swego kresu, nie będą burzone, ale właśnie rozbierane – mówi Owen Zachariasse, członek zarządu firmy. – Z elementów konstrukcyjnych, np. belek stalowych, można niemal od razu rozpocząć budowę innego obiektu. Elementy fasady mogą być przy minimalnym koszcie wymienione na inne, zaś stare nadają się do wykorzystania w innym budynku albo do recyklingu – wymienia.

Tak można postąpić niemal z każdym elementem biurowców Park 20|20. Do tego dochodzą wynajmowane części infrastruktury, jak windy. Budynki Park 20|20 zostały wyposażone w usługę przewożenia między piętrami, nie w windy. Firma Mitsubishi podpisała z deweloperem umowę na umieszczenie w biurowcach swoich wind w zamian za stałą comiesięczną opłatę. Od kredytu różni się to tym, że Mitsubishi bierze na siebie utrzymanie wind i gwarantuje ich bezawaryjność (za przestoje płaci kary), a więc będzie jej zależało na tym, by zużywały jak najmniej energii (może np. wymieniać silniki bez pytania o zgodę właściciela budynku), a kiedy kontrakt się zakończy, firma będzie dysponować surowcami zużytymi do produkcji swoich urządzeń.

Taki leasing miasto Amsterdam próbuje też wprowadzić do budynków mieszkalnych. Tym razem nie chodzi o windy, ale o źródło światła. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że żarówki, świetlówki czy wkłady LED kupujemy sami, sami zatem decydujemy o tym, jak silne mają dawać światło. Amsterdam w współpracy z lokalną spółką dostarczającą energię przymusza się, by w mieszkaniach komunalnych o źródłach światła decydowali nie mieszkańcy, ale firma energetyczna. W ten sposób miasto chce obniżyć koszty energii. Firmie będzie zależało, by oświetlenie zużywało jak najmniej prądu, a źródła światła były jak najrzadziej wymieniane. Pełnomocnik mera Amsterdamu ds. gospodarki cyrkularnej przyznaje, że podejście to będzie wymagało olbrzymiej zmiany mentalnej. – Ludziom będzie trudno pogodzić się z tym, że przychodzi do nich jakiś człowiek, który ma wymienić żarówkę. Nie chodzi oczywiście o to, by zmuszać do używania słabszych, ale tych najbardziej energooszczędnych – mówi Eveline Jonkhoff, doradczyni strategiczna miasta Amsterdam. – Największym kłopotem będzie jednak wkroczenie w sferę, która do tej pory była uznawana za prywatną.

Takie rozwiązanie próbowano już wdrożyć w Amsterdamie na rynku komercyjnym, ale tu niełatwo

było znaleźć chętnych, mimo że w pakiecie oferowano atrakcyjne ceny prądu. Podobny eksperyment przeprowadziła w Warszawie firma Innogy (wtedy jeszcze jako RWE). U nas również liczba chętnych nie była powalająca.

## PLANOWANIE PRZESTRZENNE

Wymagania dotyczące budownictwa zaostrzają się ze względu na przepisy przyjmowane przez Unię Europejską. Wspólne dla wszystkich, zawarte m.in. w dyrektywie Ecodesign, wymagają choćby, aby budynki, które będą powstawały po 2020 r., spełniały bardzo wysokie normy dotyczące współczynników efektywności energetycznej, czyli – jak wspominaliśmy – aby do ich ogrzania lub schłodzenia zużywało się wielokrotnie mniej energii niż do tej pory. W dyrektywie nie ma jednak mowy o tym, co powinno dziać się z materiałami użytymi do budowy.

Amsterdam może sobie pozwolić na narzucanie surowszych wymagań, bo ma władzę nad większością gruntów miejskich oraz spółkę, która wspiera inwestorów. Środki, jakimi dysponuje spółka, pochodzą ze sprzedaży części udziałów w firmach komunalnych Amsterdamu.

To ważne, bo nowoczesne budownictwo, o jakim marzy miasto, wciąż leży w sferze nowinek technologicznych, nie jest więc łatwo ani o inwestorów, ani o nabywców, ani o najemców. Miasto musi wspomagać inwestorów, by ci byli w stanie zaproponować czynsze w wysokości zbliżonej do rynkowych. To tym bardziej kłopotliwe, że rynek nieruchomości w Holandii jest – jak twierdzi choćby dr Onno de Jong z Uniwersytetu Erasmusa w Rotterdamie – zachwiany przez nader łatwo dostępne mieszkania komunalne.

Ponad połowa Holendrów rezygnuje z kupowania mieszkań, bo czynsze komunalne są o wiele niższe niż obciążenia wynikające ze spłacania kredytów hipotecznych. Z kolei władze miast obawiają się podwyżek czynszów ze względów politycznych i społecznych. Koszty utrzymania budynków rosną, czynsze nie po-

krywają ich w pełni, a na rynku komercyjnym budowanie mieszkań na wynajem opłaca się jedynie przy najbardziej napiętych biznesplanach. Właśnie z powodu dużych kosztów utrzymania budynków komunalnych dla władz Amsterdamu tak ważne jest inwestowanie w budynki tańsze w użytkowaniu i utrzymaniu.

Z powodów ekonomicznych miasto chce również inwestować w instalacje wytwarzające prąd z energii słonecznej. Oprócz instalacji paneli fotowoltaicznych na dachach gmina planuje inwestycje w elektrownie wiatrowe i słoneczne poza swoim granicami. Dziś stara się kupować energię wyłącznie od producentów bazujących na surowcach odnawialnych.

## TO SIĘ OPŁACA

W Amsterdamie po prostu nie wypada dziś myśleć inaczej. Pod wpływem nowych idei oraz rachunku ekonomicznego już ponad połowa hoteli wprowadziła zasady zmniejszające zużycie wody, gazu, prądu i ciepła. O transporcie zbiorowym i rowerowym władze myślą już nie tylko w kategoriach rozwiązywania problemów z korkami, ale przede wszystkim jako o narzędziach do redukcji poziomu zanieczyszczeń i zużycia energii. Transport publiczny systematycznie pozbywa się zresztą pojazdów napędzanych silnikami spalinowymi. Ulice coraz częściej pokrywa się asfaltem z recyklingu, czego przykładem jest choćby otoczenie lotniska Schiphol.

Co ważne, wszystko to ma sens dla Holendrów tylko wtedy, gdy się opłaca. Wsparcia dla przedsiębiorców inwestujących w nowe technologie prawie nigdy nie udziela się w formie bezzwrotnej, ale raczej oferuje się im korzystny kredyt. Czasem sukces przerasta założenia. Tak było z restauracją In Stock, która serwuje potrawy przyrządzane z z wycofanych z hipermarketów warzyw i owoców – takich, które nie wyglądają już atrakcyjnie, są powiędnione i pomarszczone. Zaczęło się od eksperymentu, który miał być zwykłym miejscem na codzienny lunch, a dziś restauracje In Stock funkcjonują w trzech miastach i trudno znaleźć w nich wolny stolik.

**pił**

**Z POWODÓW  
EKONOMICZNYCH  
MIASTO CHCE  
RÓWNIEŻ  
INWESTOWAĆ  
W INSTALACJE  
WYTWARZAJĄCE  
PRĄD Z ENERGII  
SŁONECZNEJ**

# Masz problem? Zadzwoń

*Wiedeń króluje w rankingach jakości życia.  
Jest również prymusem w gospodarce odpadami  
i dobrym przykładem na to,  
ile lat i wysiłku zajmuje stworzenie  
skutecznego systemu.*



Co widzą turyści w centrum tego miasta? Dziesiątki dzieł sztuki architektonicznej (zagrożone z powodu ambicji inwestorów, którzy pragną budować wieżowce), funkcjonujący jak szwajcarski zegarek transport publiczny, kilometry ścieżek rowerowych, piętrowe parkingi dla samochodów, których na ulicach jest mało. Tylko jednej rzeczy z pewnością nie zauważą: śmieci.

Porządek na ulicach (brak śmieci, ale także dbałość o małą architekturę i zieleń) wynika tu nie tylko z kultury. To także widoczny gołym okiem przejaw funkcjonowania jednego z najdoskonalszych systemów radzenia sobie z komunalnymi odpadami, z tym, co wyrzucamy do koszy, z tym, co wynosimy z domu, co zostaje nam po skoszeniu ogródka.

W przeciwieństwie do wielu innych miast europejskich Wiedeń praktycznie wszystkie odpady przetwarza: recykluje lub utylizuje w swoich granicach. Jest jednym z najbogatszych miast na świecie, ale to bogactwo od końca lat 60. XX wieku zaczęło być również obciążeniem – wzrost zamożności mieszkańców przełożył się na wielkość ich zakupów, a te, wraz z pojawieniem się opakowań i masowo wytwarzanych produktów, doprowadziły do podwojenia ilości odpadów w ciągu zaledwie 20 lat.

Właśnie dlatego Wiedeń zaczął spalać odpady już w 1963 r., jako jedno z pierwszych miast na świecie, i jednocześnie zdecydował się na budowę spalarni, która miałaby także funkcję ciepłowni zapewniającej ogrzewanie i ciepłą wodę ok. 35 proc. mieszkańców w zimie. Latem połowa ciepłej wody w wodociągach Wiednia pochodzi właśnie z ciepłowni opalanej odpadami (w niektórych dzielnicach zasila ona także systemy

chłodzenia będące alternatywą wobec osuszających powietrze klimatyzatorów).

Uruchomienie spalarni oznaczało jednak konieczność stworzenia podstawowego systemu sortowania odpadów. Do pieca nie można było wrzucić wszystkiego – niektóre rzeczy (jak szkło czy metal) radykalnie obniżają kaloryczność masy odpadów (mówiąc w uproszczeniu: utrudniają jej spalanie), ale są dość łatwe do przetworzenia w inny sposób. Władze Wiednia zdawały sobie też sprawę z kłopotu z zanieczyszczeniami, choć ówczesne standardy dotyczyły raczej kwestii odorów niż rakotwórczych toksyn (by usuwać te ostatnie, od końca lat 70. montuje się przy tego rodzaju zakładach coraz wydajniejsze systemy filtrowania).

Sortowanie ruszyło na dobre w połowie lat 80. XX wieku. Stworzono wtedy zasady, system odbioru i zaczęto wymagać segregacji od mieszkańców. Dziś z miliona ton odpadów komunalnych w Wiedniu udaje się skierować do wtórnego wykorzystania ok. 40 proc. Resztę spala się w trzech spalarniach, a popioły zestala się w boczki, wykorzystując je potem przy wzmacnianiu nadbrzeży Dunaju lub przy budowie dróg. Wysiłki, by osiągnąć podobne wyniki jak Wiedeń, podejmuje m.in. Kraków. Warszawa, produkująca bardzo podobną ilość odpadów jak stolica Austrii, niemal 80 proc. z nich składowane na wysypisku. Wiedeń nie składowuje niemal niczego.

Ten kontrast stosowanych rozwiązań jest istotny z wielu powodów. Po pierwsze: budowa nowego wysypiska odpadów to olbrzymie koszty – społeczne i ekonomiczne. Do tego dochodzą koszty transportu odpadów do miejsc przetwarzania i składowania. W Wiedniu ludzie wolą mieszkać koło spalarni odpadów niż koło wysypiska.

Po drugie: ograniczanie składowania śmieci na wysypiskach sprzyja hamowaniu globalnego ocieplenia. Mniej więcej 40 proc. odpadów w Wiedniu to biomasa, która gnijąc, wytwarzałaby metan – ten zaś przyspiesza globalne ocieplenie dziesięć razy bardziej niż dwutlenek węgla, dlatego Wiedeń, spalając, zapobiega temu procesowi. W Warszawie biomasa to połowa odpadów, ale niemal wszystkie gniją na wysypiskach.

Mimo świetnych wyników władze Wiednia nadal się martwią, bo odpadów nieustannie przybywa. Systematycznie wspierają więc akcje edukacyjne promujące kulturę ograniczania zużycia opakowań i produktów jednorazowych, a także przekonują mieszkańców miasta do niemarnowania jedzenia.

Jednym z najciekawszych rozwiązań jest jednak odsprzedaż wcześniej zebranych odpadów. Nie chodzi oczywiście o odsprzedaż skórki po bananie, ale o meble, które nadają się do użytku, oraz działające sprzęty AGD czy RTV pozostawione do wyrzucenia albo pochodzące z miejskiego punktu rzeczy znalezionych. Sklep nazywa się „48er Tandler” („Lamus 48” – od departmentu 48, który w Wiedniu zajmuje się gospodarką odpadami). Sklep nie zarabia na sobie, nie takie ma założenia – spełnia raczej funkcję edukacyjną, uświadamiając ludziom, jak łatwo pozbywają się rzeczy, które nadal mogą doskonale pełnić swoją funkcję.

Na każdym z 18 tys. pojemników na odpady w Wiedniu znajduje się pomarańczowa naklejka, a na niej rzucający się w oczy numer telefonu. Urzędnicy proszą, by dzwonić, „jeśli napotka się na problem”.

# Na krańcu świata. Przerąbane



Nie tnijcie w sezonie lęgowym! Kolejna blokada w Puszczy  
fotografia: Karol Grygruk, 30 maja 2017 r.



# Na krańcu świata. Przerąbane

**Świat chce, by Polska zaprzestała wycinki Puszczy Białowieskiej – żąda ochrony dziedzictwa. A przecież atak kornika drukarza może doprowadzić do uschnięcia wszystkich drzew w Puszczy. Co chcą chronić te instytucje, czego bronią ekolodzy?**

Na terenie lasów Białowieży od wielu miesięcy trwa regularne protesty przyrodników i aktywistów-ekologów, zdarzają się starcia z Policją, niesnaski z robotnikami leśnymi, trwa spór większości świata nauki z Ministrem Środowiska. Maszyny leśne stały się symbolem złowrogiego ataku na niewinną naturę.

O co tak naprawdę chodzi w sporze ekologów i leśników? Dlaczego wycinka drzew zainfekowanych kornikiem nie zawsze ma sens? Dlaczego z drugiej strony nie możemy sobie pozwolić, by lasy w całej Polsce pozostawić naturze?

## INTERWENIUJĄ INSTYTUCJE MIĘDZYNARODOWE

Polska ma natychmiast zaprzestać wycinki drzew w najstarszej części Puszczy Białowieskiej – taką decyzję podjęto na 41. sesji UNESCO, na początku lipca 2017 r. Ponieważ zgromadzenie komitetu jednej z najważniejszych instytucji światowych odbywało się w Polsce, w Krakowie, nie obyło się bez głośnych demonstracji i sporych emocji.

Kiedy obradował komitet UNESCO, mijał już ponad rok, odkąd rozpoczęto wycinkę części lasów na obszarze Puszczy Białowieskiej. Polskę wezwano do zatrzymania wycinki oraz przygotowania raportu o stanie Puszczy.

Po decyzji komitetu wicepremier Gliński tłumaczył dziennikarzom, że istnieją dwa skrajne stanowiska: eko-

logów, którzy chcieliby pozostawić Puszczy bez ingerencji człowieka, oraz Lasów Państwowych traktujących las jako obszar gospodarki mający przynosić dochody.

– Problem z Puszczą polega na tym, że nie jest to jednorodny teren. Część Puszczy to lasy, które można nazwać naturalnymi, przez lata nienaruszane przez człowieka; natomiast część była przez człowieka przekształcana. W związku z tym człowiek musi aktywnie podchodzić do ochrony przyrody – mówi Gliński. Co ważne, spór dotyczy przede wszystkim obszaru znajdującego się poza samym Białowieskim Parkiem Narodowym, ale na terenie jego otuliny, a więc mającym zabezpieczać prawdziwie dziki las przed ingerencją człowieka.

Wkrótce po UNESCO do wstrzymania wycinki Puszczy zaważwał Polskę unijny Trybunał Sprawiedliwości ze Strasburga, zaś Komisja Europejska zaczęła upominać nasz rząd. To dlatego, że na terenie Puszczy rozciąga się obszar Natura 2000, a więc rejon szczególnie cenny ze względu na siedliska zwierząt i stanowiska występowania rzadkich roślin.

## CZYNNA, BIERNĄ JAKA?

We wsiach południowej Polski, w małym regionie Orawa starsi ludzie śpiewają czasem: „Hej bucki som, bucki som, / popod Babiom Góróm”. Piosenka jest o tyle interesująca, że tych buków pod Babią Górą nie ma już od dobrych 75 lat (przynajmniej nie po jej południowej, orawskiej stronie). Chodzi o mieszane lasy jodłowo-bukowe, gdzie w sezonie wczesnojesiennym

rosną prawdziwki. Lasy te zostały zastąpione przez połacie świerkowe – efekt monokultury uprawianej w XIX i XX w. przez leśników austriackich i niemieckich, a później ich polskich uczniów.

Podobnie stało się i po drugiej stronie tego popularnego szczytu Beskidu Żywieckiego. Na północnych zboczach góry szefostwo Babiogórskiego Parku Narodowego systematycznie zaczęło więc odtwarzać lasy bukowo-jodłowe. Spotkało się to z dość burzliwym odbiorem ze strony przyrodników, bo zaczęło się w czasie, gdy w otaczających BGPN lasach trzeba było na gwałt wycinać dziesiątki hektarów świerków, by ratować zarobek przed kornikiem.

Sytuacja wokół Babiej Góry to klasyczny spór między zwolennikami biernej i czynnej ochrony przyrody, a więc między pozostawianiem jej samej sobie a ingerencją, która pozwala zachować ginący gatunek, odnowić stanowiska roślin czy siedliska zwierząt.

Spór ten wydaje się nie do rozstrzygnięcia, choćby ze względu na mnogość przykładów wskazujących na zalety jednego i drugiego rozwiązania. Aktywne przywracanie lasu bukowo-jodłowego na północnych zboczach Babiej Góry, a więc ograniczanie powierzchni lasów świerkowych, mogło skończyć się źle dla dziecięcia trójpalczastego, chętnie zamieszkującego tereny z licznymi gnijącymi okazami drzew. Wydaje się więc, że dużo lepsze byłoby pozwolenie, żeby las bukowo-jodłowy odnowił się sam. Niestety taki proces potrwałby nie 80, jak przy aktywnej wymianie, ale 300, 400, a może i 500 lat.

Podmokłe łąki nad Biebrzą nie miałyby chronionej prawem wartości bez aktywnego udziału człowieka,



3. blokada wycinki w Puszczy Białowieskiej  
fotografia: Karol Grygoruk

który systematycznie je podkasz. Dzięki człowiekowi nie dochodzi do zarastania łąk i torfowisk ciągnących się wzdłuż Biebrzy. A to z kolei pozwala tam bytować wielu rzadkim gatunkom ptaków. Przez dziesiątki czy setki lat rolnicy zdobywali tu tanią paszę i paliwo, jednocześnie tworząc odpowiednie warunki życia dla ptaków. Ponieważ rolnictwo uległo przeobrażeniu, dziś trzeba pilnować, żeby te atrakcyjne dla zwierząt terytoria nie uległy degradacji. Dlatego raz na 3 lata (taka częstotliwość wystarczy) Biebrzański Park Narodowy część swojego obszaru dzierżawi rolnikom na atrakcyjnych warunkach finansowych (na dzierżawiony teren rolnicy mogą pobierać także dopłaty unijne) – po to, by kosili łąki. Jest tylko jedno ograniczenie: nie można tego robić maszynami, żeby nie płoszyć zwierząt. Do ptaków korzystających na wykaszaniu należy między innymi zagrożony orzeł bielik, który w niższej trawie może łatwiej wypatrzeć ofiarę.

W Polsce nadal dominuje sięgające korzeniami XIX i XX w. wieku antropocentryczne podejście do świata. Zgodnie z nim przyroda ma służyć człowiekowi, a więc również być dla niego źródłem korzyści materialnych. W konsekwencji bierna ochrona przyrody wciąż pozostaje u nas niepopularna. Właśnie dlatego w Lasach Państwowych często się zdarza, że bierna ochrona przyrody uznawana jest za stratę powierzchni produkcyjnej albo obniżanie wartości drewna. Tak jak teraz w Puszczy Białowieskiej – leśnicy przekonują, że wycinając zaatakowane przez korniki drzewa, służą społeczeństwu, bo generują wpływy do wspólnego budżetu oraz chronią obecny wygląd Puszczy. Ochrona bierna, postulująca w tym przypadku rezygnację z użytkowania lasu, postrzegana jest przez nich jako hamulec nowoczesności i rozwoju.

## OCHRONA PRZYRODY TO DOPIERO XIX W.

Bierne podejście do przyrody było pierwszym sposobem jej ochrony. Wszystko zaczęło się w XIX w., kiedy o przyrodzie zaczęto myśleć w kategoriach ochrony wartości, a nie wyłącznie zrównoważonego gospodarowania, pozwalającego podtrzymać gatunki, źródło dochodów, żywności i paliwa.

Z dzisiejszego punktu widzenia trudno nazwać ochroną przyrody zakaz polowania na wybrany gatunek zwierząt. Takie zakazy zwykle wprowadzali władcy feudalni, ale po to, by zadbać o swoją królewską lub wojenną spiżarnię, a nie ze względu na przyrodę samą w sobie. W Polsce pod taką ochroną dość szybko trafiły żubry i tury (tych ostatnich i tak nie udało się

uratować, a żubr ledwo przetrwał), ale też na pewnych obszarach bobry lub niedźwiedzie.

Co ciekawe, bardzo wcześnie przejawili potrzebę ochrony przyrody mieszkańcy młodziutkich Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Na początku XIX w. powstały tam pierwsze utwory, głównie literackie, w których pojawiały się spostrzeżenia dotyczące wpływu człowieka na przyrodę. James Fenimore Cooper, znany jako autor *Ostatniego Mohikanina*, napisał swój pięciotomowy cykl przygód samotnego trapera m.in. po to, by przemycić do świadomości społeczeństwa wizję negatywnego wpływu zachodniej cywilizacji na przyrodę. Najgrubsza część książki, zatytułowana *Preria*, jest właściwie poświęcona tylko temu problemowi.

Najśłynniejszym przedstawicielem myśli przyrodniczej jest z kolei Henry David Thoreau, autor *Obywatelskiego nieposłuszeństwa* oraz esejów autobiograficznych zatytułowanych *Walden, czyli życie w lesie*. Ta ostatnia pozycja, kumulująca doświadczenia z lat samotnego życia autora nad stawem Walden, była jednym z fundamentów idei, która doprowadziła do utworzenia Yellowstone – pierwszego na świecie parku narodowego.

Pod pojęciem parku narodowego kryje się zestaw wartości skłaniających społeczeństwa do ochrony przyrody, czy to w postaci całych obszarów, czy wybranych jej elementów, tzw. pomników przyrody. Decyzje o tworzeniu pierwszych parków narodowych wynikały z chęci ochrony wartości estetycznych, środowiskowych, krajobrazowych i patriotycznych. Park Yellowstone miał za zadanie nie tylko zachować wyjątkowe piękno tamtejszej przyrody, ale też kształtować ducha nowego narodu amerykańskiego.

Podobnie było w Europie. Tak się składa, że pierwszą na świecie ustawę o ochronie konkretnego gatunku uchwalono w 1868 r. we Lwowie. Sejm krajowy Galicji uznał wtedy, że świstaki i kozice górskie należy objąć zakazem polowań – głównie z powodu ich wyjątkowej atrakcyjności na rynku trofeów, która doprowadziła do drastycznego przeredzenia pogłowia tych zwierząt w Tatrach. W sprawie interweniowali nawet biskupi, pisząc do proboszczów na Podhalu, by ci napominali wiernych.

Ochrona zwierząt tatrzańskich, a później samych Tatr w nie mniejszym stopniu była motywowana względami narodowościowymi. XIX w. to epoka emancypacji narodowej grup etnicznych, które poszukiwały symboli jednoczących wspólnotę. Górale podhalańscy, kozica i świstak, Giewont – wszystko to znalazło się w zbiorze symboli narodowych, a Tatry dość szybko stały się dzięki temu miejscem szczególnej troski o przyrodę. Były to skuteczne zabiegi – do dziś większość Polaków

odczuwa przemożną potrzebę odwiedzenia Zakopanego choćby raz w życiu.

## DZIŚ, ALE JAK ZA CZASÓW CARA

Prezentowane dzisiaj przez obrońców Puszczy Białowieskiej stanowisko, zgodnie z którym jak największy jej obszar pozostawić należy prawom przyrody, nawet gdyby miało oznaczać to uschnięcie wielu hektarów lasu, jest bardzo bliskie koncepcjom opracowanym ponad 100 lat temu w carskiej Rosji. Jednym z reprezentantów takiej myśli był Georgij Kożewnikow, profesor zoologii z Moskwy. Jego podejście uformowało się po podróżach – widział m.in. Grunewald pod Berlinem, niewielki las pełniący tak naprawdę funkcję parku dla mieszkańców miasta. W USA chronione obszary były z kolei olbrzymie, ale ludzie mogli wkraczać na nie bez żadnych obostrzeń. W efekcie wraz z narastającą motoryzacją z czasem stały się miejscem wycieczek samochodowych, a cywilizacja coraz głębiej i brutalniej wdzierająca się w dawną nieskalaną puszcza. Proces ten sugestywnie opisuje William Faulkner, np. w zbiorze opowiadań zatytułowanych *Wielki las*.

Kożewnikow zaproponował ochronę absolutną. Wyznaczone miejsca miały się rządzić wyłącznie prawami przyrody i być całkowicie wolne od ingerencji człowieka. Po przeanalizowaniu doświadczeń zachodnioeuropejskich Rosjanie uznali, że obszar objęty ochroną absolutną powinien być duży i dziewiczy. Działalność człowieka postanowiono dopuszczać właściwie tylko pod postacią badań naukowych, być może turystyki, ale tylko dla grup zorganizowanych, nigdy masowych wycieczek. Najważniejsze było jednak założenie, że człowiek nie mógł ingerować w to, co dzieje się na obszarze chronionym. Ten projekt – w wariacie opartym na pierwotnych, surowych założeniach – nigdy nie został w Rosji wdrożony. W okresie komunizmu na obszarze ZSRR wyznaczono tereny ochrony ścisłej, ale i one nie były całkowicie wolne od wpływu człowieka. To autorskie podejście spowodowało, że pierwszy w Rosji park narodowy zgodny ze światowymi standardami utworzono dopiero w 1983 r.

## UNESCO – KAŻDY CHCE BYĆ NA LIŚCIE

Interwencja UNESCO w sprawie Białowieży to konsekwencja wpisania Puszczy na listę dziedzictwa mię-



3. blokada wycinki w Puszczy Białowieskiej  
fotografia: Karol Grygoruk

dzynarodowego, a więc do spisu obszarów, miejsc lub rzeczy szczególnie cennych z punktu widzenia kultury i przyrody. Obiekty tam wymienione uznawane są przez międzynarodową społeczność za dziedzictwo wspólne dla całej ludzkości. Jak jest z ochroną tego dziedzictwa, jak jest traktowane – to już odrębna sprawa. Obszarem działania UNESCO jest przede wszystkim świat wartości. O tym, że UNESCO prowadzi też działalność polityczną, myśli już mało kto. Organizacja rozpoznawalna jest głównie dzięki liście dziedzictwa. Po kilkudziesięciu latach istnienia można powiedzieć, że siła organizacji jest realna, choć rzadko widoczna wprost. To forma tzw. *soft power*. O atrakcyjności tego rodzaju międzynarodowej dyplomacji dobrze świadczy fakt, że UNESCO skupia więcej członków niż sama ONZ.

W konwencji paryskiej z roku 1972, inicjującej listę światowego dziedzictwa, zdefiniowano kryteria powszechnie uznawanego zbioru wartości. Warto przypomnieć, iż Polska – jako wyjątek z krajów bloku sowieckiego – była jednym z pierwszych sygnatariuszy tej konwencji, dzięki czemu Kraków czy Wieliczka są jednymi z najstarszych jej beneficjentów. Lista stała się rodzajem moralnej rekompensaty i motywacji. W Polsce mogliśmy dzięki niej poczuć, że ktoś docenia naszą kulturę. Dzisiaj wpis na listę oznacza już nie tylko wyróżnienie, ale i zobowiązanie do pietyzmu w ochronie najcenniejszych dóbr. Polska ma na liście 30 obiektów dziedzictwa kulturowego oraz 1 skarb przyrodniczy: Puszcza Białowieską.

Dziedzictwo kulturowe nierzadko pada ofiarą konfliktów: militarnych, jak np. ostatnio Palmyra w Syrii, czy niemilitarnych, jak Bamian w Afganistanie. Starożytne

miasto Palmyra legło w gruzach działań wojennych – terroryści z ISIS zdewastowali je na złość zachodniemu światowi. Z kolei w Bamian Talibowie zniszczyli buddyjskie posągi z V w. n.e. w imię swojej interpretacji islamu.

Europa zanotowała już raz przypadek konfliktu pomiędzy dziedzictwem a rozwojem. Kilka lat temu z listy UNESCO skreślone zostało Drezno. Poszło o most. W roku 2004 Drezno wpisano na listę wraz ze znajdującą się w jego okolicach malowniczą doliną Łaby. Kilka lat później 68 proc. mieszkańców – mimo protestów intelektualistów – zdecydowało w referendum, że chcą budowy mostu w miejscu, które było wykluczone z zabudowy poprzez wcześniejszy wpis na listę UNESCO. Dziedzictwo jest więc w głowach ludzi, a nie w rzeczach. I to od ludzi zależy, czy zostanie zachowane. Jeśli miejscowa społeczność nie ma świadomości, jaka jest wartość otaczającego ją dziedzictwa, konsekwencją będzie konflikt, a czasem – jak w Dreźnie czy Bamian – porażka. Dlatego tak ważna jest edukacja na rzecz dziedzictwa. Świadomość lokalna jest warunkiem koniecznym, by w ogóle myśleć o wpisaniu jakiegoś obiektu na listę. Bez akceptacji ludzi taki gest nie ma sensu – wpis nie zostanie zrozumiany. Traktowany będzie jak zewnętrzny atak, opresja. Nie o to przecież chodzi.

## CO TNĄ LASY PAŃSTWOWE?

W Polsce lasy stanowią blisko 28,8 proc. powierzchni kraju, zajmując ponad 9,1 mln hektarów. To wysoki

choć nie najwyższy poziom zalesienia. Największą powierzchnię lasów ma Finlandia – 68,6 proc. kraju, ale już Bułgaria – 34,8 proc., Francja – 26,9 proc., Niemcy – 29,1 proc. Zaraz po Niemczech jest Polska. Na samym dole zestawienia figurują natomiast Węgry – 18,3 proc., Dania – 11,6 proc. i Wielka Brytania – 9,8 proc. Większość naszych lasów to plantacje drzew lub tereny silnie przekształcone przez człowieka.

Lasy Państwowe zarządzają 78 proc. tej powierzchni, zaś 2 proc. znajduje się na obszarze Parków Narodowych. Rozkład terenów znajdujących się w rękach LP związany jest z polską historią – najwięcej lasów prywatnych rośnie w Małopolsce czy na Mazowszu (stanowią blisko 45 proc. wszystkich w województwie), najmniej w Lubuskim i Zachodniopomorskim (ledwie 1,5 proc.).

Cała Puszcza Białowieska po obu stronach granicy polsko-białoruskiej liczy 150,5 tys. ha. z tego 87 tys. ha (59 proc.) leży po jej wschodniej stronie i w całości jest białoruskim parkiem narodowym, zaś 62 tys. ha (41 proc.) to powierzchnia polskiej części Puszczy.

Tylko 10,5 tys. ha polskiej Puszczy to park narodowy, reszta – 51,5 tys. ha – to obszary znajdujące się we władaniu nadleśnictw: Białowieża, Browsk i Hajnówka. Obszar ścisłej ochrony przyrody po stronie białoruskiej to mniej więcej 18 proc. tamtych lasów. Po stronie polskiej tylko 7,5 proc. powierzchni.

Puszcza Białowieska została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO w 1979 roku – wtedy jeszcze jako polski obszar 5 tys. ha lasu wchodzący w obręb Białowieskiego Parku Narodowego. W 1992 roku wpis

został rozszerzony o białoruską część Puszczy. Zaś w 2014 roku obszarem uznawanym za światowe dziedzictwo objęto całą część polską. Właśnie ta ostatnia decyzja jest podważana przez obecne władze Ministerstwa Środowiska, bo dodatkowy obszar nie jest już lasem dziewiczym.

Białowiecki Park Narodowy na terenie objętym ścisłą ochroną nawet w ¼ składa się z martwego drewna. Dzięki rozkładowi martwych pni do gleby wracają substancje odżywcze nadające jej żyzność. Rozkładające się drewno jest też siedliskiem dla grzybów, bakterii i bezkręgowców. Często to rzadkie gatunki stanowiące cenne pożywienie dla zwierząt. Takie miejsca można w Polsce spotkać jeszcze jedynie w Bieszczadzkiem Parku Narodowym, gdzie również – choć z powodu trudnej dostępności części tamtejszych lasów – nawet ¼ drzew może być martwa. Na terenie innych parków narodowych w Polsce prowadzona jest dość intensywna gospodarka leśna.

Lasy Państwowe zatrudniają ok. 25 tys. osób, a średnia płaca to 7 tys. zł brutto. Systematycznie zwiększają wycinkę (z 17 mln m sześć. w 1990 r. do 37,7 mln m sześć. w 2014 r.), ale jednocześnie powiększają zapasy – wycina się bowiem ok. 55 proc. tego, co przyrosło. Wartość drewna, które pozyskują, przekracza 7 mld zł rocznie. W większości kupują je firmy papiernicze i meblarskie zatrudniające w Polsce ok. 250 tys. ludzi. Na eksport kierowanych jest 9 z 10 wytworzonych w Polsce mebli. Powstaje u nas np. ogromna część mebli światowego giganta tej branży – firmy IKEA (przedsiębiorstwo ogłosiło jednak, że produkujące dla niej zakłady nie będą się zaopatrywać w drewno z Białowieży). Eksport produktów drewnianych wart jest ok. 45 mld zł.

Obecnie pozyskiwane z Puszczy drewno nie spełnia warunków certyfikatu FSC (Forest Stewardship Council), który jest gwarancją zrównoważonej gospodarki leśnej i w pełni legalnego pochodzenia surowca z terenów, na których jego pozyskanie nie naruszało wartości przyrodniczych. Nadleśnictwa puszczańskie straciły go w roku 2010.

Cała Puszcza Białowiecka w Polsce to zaledwie 1 proc. powierzchni polskich lasów. Lasy Państwowe w 2015 r. zarobiły na sprzedaży drewna ze wszystkich swoich lasów 8 mld zł i zakończyły rok zyskiem ponad 130 mln zł oraz wpłaciły do kasy państwa 800 mln zł.

W tym kontekście trudno zatem uzasadnić potrzebę wycinki drzew w Puszczy finansami. Z powodu ochrony tego terenu nadleśnictwa puszczańskie od wielu lat są niedochodowe. Tymczasem w pierwszym półroczu 2017 r. zarobiły na sprzedaży drewna 11 mln zł (ok. 2 razy więcej niż w zeszłym roku), pozyskując 112 tys. m sześć. drewna (do końca roku miały sprzedać prawie 166 m sześć.). Tylu drzew nie wycięto w Puszczy od 1988 roku.

## STRASBURG WZYWA...

Nie wiadomo, jak skończy się spór o Puszcę. Ministerstwo Środowiska przez całe lato ignorowało nie tylko decyzję UNESCO, ale też wyrok unijnego Trybunału Sprawiedliwości w Strasburgu. Z terenu Puszczy wyjeżdżały kolejne drzewa wycięte wbrew decyzjom tych instytucji. Wiele transportów zablokowali aktywiści, powstrzymywali też pracę maszyn, tzw. harwesterów.

Pod koniec lipca Trybunał podjął decyzję o nakazie natychmiastowego wstrzymania wycinki Puszczy Białowieckiej na obszarach chronionych. To środek tymczasowy. Wnioskowała o niego Komisja Europejska, która 11 września postanowiła się zająć sprawą Puszczy i postępowaniem Polski w tej sprawie. Zgodnie z przepisami unijnymi Polsce grozi utrata funduszy europejskich w wysokości ok. 4 mld zł, jeśli nie zastosuje się do decyzji Trybunału. Spór o wartości przyrodnicze i dziedzictwo kulturowe zszedł na poziom sporu politycznego.

Takie miejsca jak Puszcza Białowiecka są dziś ludzkości potrzebne szczególnie. W świecie silnie przekształconym przez człowieka i bardzo uprzemysłowionym obszary nietknięte ludzką ręką są niezmiernie rzadkie. Puszcza Białowiecka przetrwała nienaruszona niemal do początku XX w., a później, mimo pewnych ingerencji, szybko, bo już w roku 1932, została objęta ochroną – w kraju biedniejszym i bardziej zalesionym niż obecna Polska. Nikt ze strony naszego rządu nie wyjaśnił dotąd, dlaczego ten skrawek, niespełna 1 proc. powierzchni polskich lasów, nie może stać się obszarem ochrony absolutnej.

**Bartosz Piłat**



Nie tnijcie w sezonie lęgowym! Kolejna blokada w Puszczy  
fotografia: Karol Grygruk, 30 maja 2017 r.

## ILE ZWIERZĄT HODUJE SIĘ W KLATKACH?

**41 mln**

**ZWIERZĄT FUTERKOWYCH**  
w całej Unii Europejskiej  
(w tym 17,8 mln w Danii,  
7,8 mln w Polsce, 5,5 mln  
w Holandii) – dane Fur Europe

**330 mln**

**KRÓLIKÓW**  
(czyli 99 proc. wszystkich!) –  
dane CIWF

**32 mln**

**KUR NIOSEK W POLSCE**  
(80 proc. wszystkich),  
220 mln (z 380 mln) kur  
w Unii Europejskiej

**1 mln**

**ŚWIŃ W POLSCE**  
(z 12 mln),  
ok. 12 mln w Unii Europejskiej  
(ze 138 mln) –  
dane FAMMU/FAPA

**100 mln**

**PRZEPIÓREK**

## ILE ZJADAMY, ILE ZUŻYWAMY?



Statystyczny Polak zjada rocznie  
38 kg wieprzowiny, 25 kg drobiu  
i 1,8 kg wołowiny (dane Instytutu  
Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki  
Żywnościowej z 2015 r.).



W 2014 r. zjedliśmy w Unii  
Europejskiej 28 mln sztuk bydła  
i 122 mln świń oraz 10 mln ton  
kurczaków (podaje Eurostat).



Na obszarze UE produkujemy  
rocznie ok. 7 mln ton jajek  
konsumpcyjnych.

## KTO ZREZYGNOWAŁ Z JAJEK KLATKOWYCH?

**SKLEPY SPOŻYWCZE:** Aldi, Lidl, Kaufland, Netto, Biedronka, Carrefour, Piotr i Paweł, Auchan, Stokrotka, Intermarché, Tesco

**SIECI HOTELI:** Mercure, Ibis, Orbis, Novotel, InterContinental, Holiday Inn, Accor, Sofitel, Campanile, Golden Tulip

**PRODUCENCI ŻYWNOŚCI:** Unilever (Hellmann's, Knorr, Algida, Ben & Jerry's), Mondelēz (Belvita, Halls, Le Petit Beurre de LU, Milka, Oreo, Prince Polo, Toblerone), PepsiCo (Lay's, Cheetos), Ferrero (Raffaello, Ferrero Rocher, Mon Chéri; Kinder Bueno, Kinder Niespodzianka, Kinder Chocolate), Fosta, La Lorraine

**GASTRONOMIA:** McDonald's, Subway, Starbucks, Burger King, Sodexo, Eurest, Green Caffè Nero, A.Blikle, Organic Coffee & More, Grycan

## ILE TRWA ODEJŚCIE OD JAJEK Z KLATKI?

Sklepy, takie jak InterMarché czy Tesco, albo wielka firma, jak Sodexo, nie są w stanie zrezygnować z jajek klatkowych w ciągu roku. Cały proces może trwać nawet dekadę (jak w przypadku InterMarché, które chce sprzedać ostatnie jajka klatkowe w 2025 r.). Odpowiedzialne firmy nie porzucają bowiem swoich dostawców, ale negocjują z nimi przestawienie produkcji.

## CZEGO ZAKAZUJĄ W UNII EUROPEJSKIEJ?

- 2012 • **ZAKAZANO KLATEK BATERYJNYCH** – kury siedziały w nich na powierzchni kartki A4. W powiększonych klatkach nadal przetrzymuje się 60 proc. wszystkich europejskich kur.
- 2013 • Na terenie całej UE wprowadzono zakaz **PRZETRZYMYWANIA W KOJCACH CIĘŻARNYCH LOCH** (za wyjątkiem pierwszego miesiąca i ostatniego tygodnia ich ciąży).
- 2017 • Czechy zakazały hodowli zwierząt futerkowych. Trwa debata sejmowa nad taką decyzją w Polsce.
- 2024 • Austria, Wielka Brytania i Holandia chcą całkowicie zaprzestać do czasu hodowli zwierząt futerkowych.
- 2025 • Niemcy planują wprowadzić wtedy zakaz jakiegokolwiek **HODOWLI DROBIU W KLATKACH**.

# OTWARTE KLATKI

## JAKIE ZWIERZĘTA HODUJE SIĘ W KLATKACH I KOJCACH?



RERUM  
COGNOSCERE  
CAUSAS ET VALOREM \*

\*  
Studenci **UEK** już to wiedzą

Zdobądź więcej

**GAP.**

Wydział Gospodarki  
i Administracji Publicznej  
Uniwersytet Ekonomiczny  
w Krakowie

www.gap.uek.krakow.pl



Strefa GAP



gapfeeler

## Open Eyes meeting points



**Jeśli zabrakło ci czasu, żeby zadać pytanie prelegentowi, umów się z nim w meeting point – specjalnej strefie spotkań. Na tegorocznej edycji OEES takich punktów będzie kilka.**

Open Eyes Economy Summit przełamuje wiele schematów – zarówno intelektualnych, jak i organizacyjnych. Zagadnienia współczesnej ekonomii są podczas tego kongresu rozpatrywane interdyscyplinarnie. Przez 2 dni między wybitnymi przedstawicielami świata polityki, biznesu, administracji publicznej i kultury (i to nie tylko w czasie paneli przed dużym audytorium, ale także podczas sesji inspiracyjnych, *slam battles*, *intellectual speed dating*, wystaw i koncertów) trwają intensywne dyskusje.

W tym roku nie zabraknie miejsca dla szczególnie dociekliwych, czyli wszystkich tych, którzy chcieliby zadać pytania komuś z wybranych prelegentów. W tym właśnie celu stworzyliśmy tzw. *meeting points* – wyróżniające się miej-

sca spotkań, dyskretnie oddzielone od przestrzeni wokół. Z prelegentami, których wypowiedź nas zaciekała, będzie można umówić się w 3 strefach. Pora ich obecności w *meeting points* zostanie ogłoszona odpowiednio wcześniej, tak aby każdy mógł optymalnie zaplanować swój dzień na OEES.

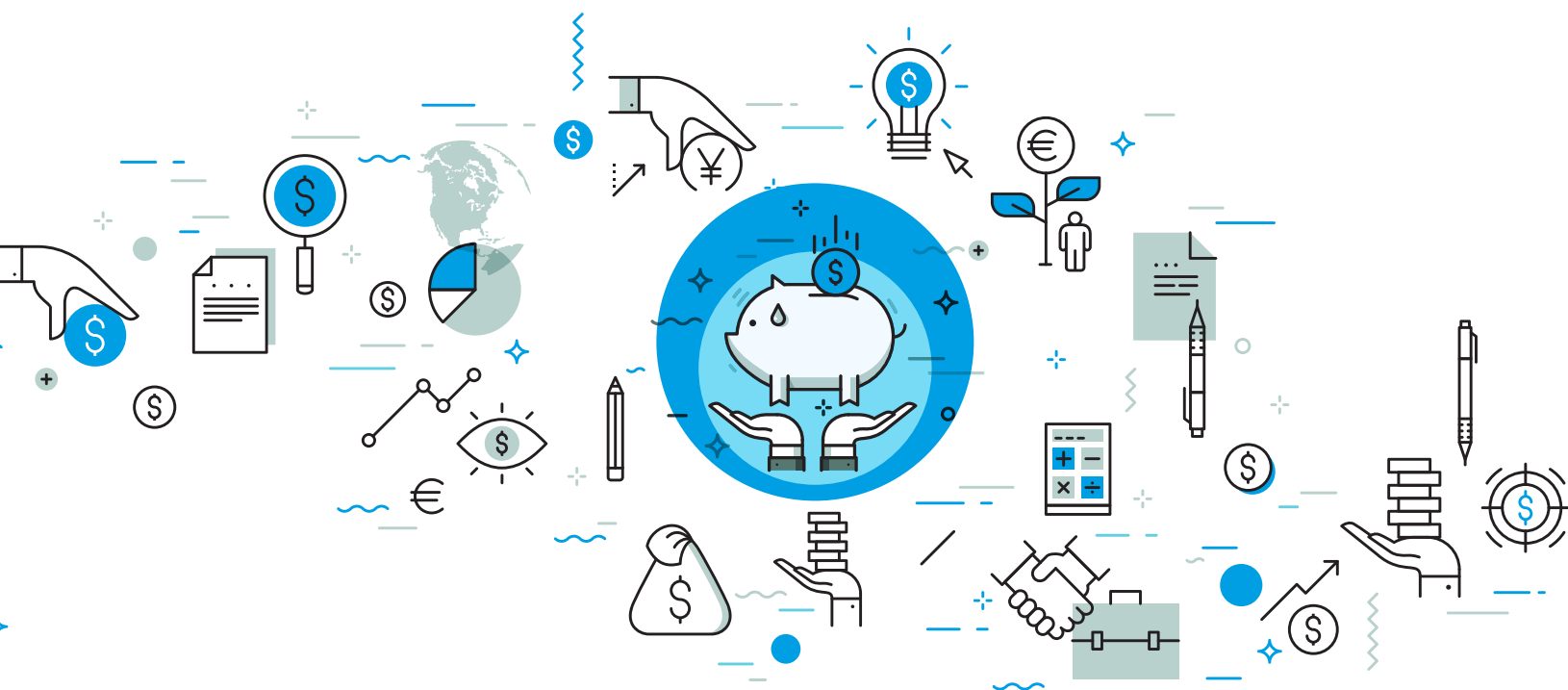
Zależało nam, aby nasze *meeting points* wyróżniały się z przestrzeni Centrum Kongresowego ICE, ale jednocześnie nie były miejscami trudno dostępnymi, mało zachęcającymi do wejścia. Dlatego zdecydowaliśmy się na współpracę z Akademią Sztuk Pięknych. Ogłosiliśmy konkurs, w wyniku którego zrealizowano zwycięski projekt *meeting point*. Jego zaletą jest niezwykła mobilność, a dzięki zastosowaniu opatentowanego materiału

kartonowego – zadziwiająco wytrzymała konstrukcja. Komórkowa struktura budowy sprawia, że obiekt jest jednak lekki. Ponadto materiał w 100% poddaje się recyklingowi. Zarówno krzeselka, jak i stolik są składane, lekkie i wytrzymałe. Razem z symbolicznymi parawanami, które wyznaczają przestrzeń strefy, można je łatwo spakować do wózka. Ten ostatni może również spełniać rolę mównicy.

Taki właśnie świetny projekt zobaczymy na żywo w czasie tegorocznej edycji Open Eyes Economy Summit. Być może sami z niego skorzystacie! Zaprojektowali go dla Was i wykonali Julia Górecka i Maciej Zawierucha – studenci IV roku krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych z Wydziału Form Przemysłowych.

# Branża finansowa ma wyzwanie: odpowiedzialną sprzedaż

**Kryzys ekonomiczny, którego symbolicznym początkiem był upadek banku Lehman Brothers, rozpoczął też rozmowy na temat etyki w polityce sprzedażowej branży finansowej. W Spółdzielni ANG mniej gadają, a więcej robią. Tam najważniejsze jest zaufanie, nie pieniądze.**



W 2009 r. tysiące osób w całej Polsce czuło się pokrzywdzonych i kierowało swoje żale w stronę doradców kredytowych, ubezpieczeniowych i inwestycyjnych. Byli to ci, którzy za namową doradców wiosną i latem 2007, tuż przed załamaniem giełdy, zainwestowali w fundusze związane z rynkiem akcji. I ci, którzy wiosną i latem 2008, kiedy złotówka była rekordowo silna, zaciągnęli kredyty hipoteczne we frankach szwajcarskich. A także przedsiębiorcy namówieni na spekulowanie kursami walutowymi, żeby ograniczyć wahnięcia związane z kursami waluty przy eksporcie i jeszcze zarobić. Gdy złotówka w pół roku straciła 30 proc. wartości, straty firm sięgały milionów, a wiele małych i średnich przedsiębiorstw stało się niewypłacalnych.

Wszyscy obwiniali o swoje problemy doradców bankowych lub ubezpieczeniowych i pośredników finan-

sowych, którzy jeszcze niedawno przekonywali, jak dobrze można zarobić i że ryzyko właściwie nie istnieje. Miesiąc po miesiącu media ujawniały kulisy polityki motywacyjnej wobec tych pracowników. Nie liczył się odpowiedzialny kredyt, ale sprzedany kredyt, bo tylko wtedy pracownik mógł otrzymać premię, a jego szef swoją za zrealizowanie planów. Dziś o tak chorej sytuacji nie może być mowy, banki muszą być ostrożniejsze i bardziej odpowiedzialne, choćby z powodu zaostrzenia wymogów publicznej Komisji Nadzoru Finansowego.

Niestety przypadki nieodpowiedzialnych praktyk ciągle się zdarzają. – Nie tak dawno zrezygnowaliśmy z oferty jednej z ważnych instytucji finansowych. Nie mogąc zdradzić nazwy, niemniej jej system wartości i standardy obsługi klientów były tak dalekie od naszych,

że chcąc zachować zgodność z przyjętymi przez nas zasadami, po prostu musieliśmy podjąć taką decyzję. Ten ruch był kosztowny ekonomicznie, ale musieliśmy być w porządku wobec siebie i naszych klientów – mówił Artur Nowak-Gocłowski na seminarium dotyczącym wartości w biznesie. Gocłowski jest jednym z założycieli Spółdzielni ANG (do niedawna ANG Spółdzielnia Doradców Kredytowych). – Razem z partnerami uznaliśmy, że możemy się pogodzić z wizją mniejszych zarobków w zamian za poczucie, że wykonaliśmy naszą pracę odpowiedzialnie i uczciwie – tłumaczy.

Ludzie z ANG nie kryją, że wśród powodów, które nakłoniły ich do zmiany poprzednich miejsc pracy, były emocje, jakie po kryzysie 2008 roku związane były z polityką sprzedażową instytucji finansowych, ich podejściem do klientów i pracowników. Niedługo później

Polskę zalała fala skarg ze strony ludzi zadłużonych we frankach szwajcarskich i przekonujących, że banki nie informowały ich o faktycznym poziomie ryzyka, czy klientów, którym sprzedano niezrozumiałe dla nich produkty inwestycyjne lub ubezpieczeniowe. Wina leży oczywiście zarówno po stronie banków, towarzystw, pośredników, jak i, nierzadko, samych klientów – świadomych, że taka inwestycja jest swoistym hazardem. Dla ludzi z ANG najważniejsze jednak było szukanie w obrębie własnej branży takiego rozwiązania, które będzie jej przywracało pojęcie służby.

Kiedy spółdzielnia powstawała, za jeden z najważniejszych celów obrała sobie stworzenie i kierowanie się własnym *Kodeksem etycznym*, aktualizowanym i żywym. Etyka to istotny element oceny ekspertów i członków spółdzielni – odpowiedzialne i zaangażowane społecznie zachowania są tutaj w cenie. – Na rynku było i wciąż istnieje wiele firm oferujących produkty właściwie klientom niepotrzebne, stworzone tylko po to, by mnożyć dochody instytucji, które je sprzedają. Nie chodzi wyłącznie o ofertę banków, ale też o urzędzenia, usługi. To *misseling*, którego unikamy. Naszą ambicją jest, byśmy nie sprzedali nikomu rzeczy, której nie rozumiemy, nie potrzebujemy albo na którą go nie stać – mówi Gocłowski. **Odpowiedzialna sprzedaż jest jednym z punktów *Kodeksu etycznego* przyjętego przez spółdzielnię. Dlatego przedstawiciele spółdzielni zawsze dbają o to, by klienci dobrze zrozumieli, jak działa przedstawiany im produkt. – Ideałem byłby świat transakcji, w którym klient w ogóle nie musi zerkać do umowy. Jednak jako instytucje i firmy obecne na rynku nie zapracowaliśmy na takie zaufanie – stwierdza szef spółdzielni.**

Ma też swoją diagnozę jednej z przyczyn kryzysu, w którym znalazły się szczególnie instytucje finansowe. – Zarówno zarządzający, jak i członkowie zespołów mają za mało styczności z humanistyką. Przygotowuje się ich na poziomie eksperckim w dziedzinie, w której będą pracowali, ale nie mają kontaktu z wiedzą o ludziach, o społeczeństwie. Nie rozwijają swojej wrażliwości – ocenia Gocłowski. Stąd prosta droga do tego, by nie dostrzegać człowieka w kliencie, partnerze, współpracowniku. To w konsekwencji również przedkładanie zysku firmy nad dobro klientów. Potrzeba empatycznego i humanistycznego kształcenia ludzi biznesu pojawia się coraz częściej w debacie środowisk akademickich. Takie podejście ma na przykład wykładający na Harvardzie profesor Joseph Badaracco, który ucząc zarządzania, każe swoim studentom czytać coś innego niż podręczniki – daje im literaturę. Dlatego w ANG na ostatniej wigilii firmowej każdy dostał w prezencie książkę, a na coroczne walne zgromadzenie, które jest jednocześnie spotkaniem integracyjnym, zapraszani są ludzie, którzy mogą się z nami podzielić czymś dotyczącym wartości innych

niż pieniądze. W zeszłym roku słuchaliśmy Piotra Pawłowskiego z fundacji Integracja, a w tym gościem był Szymon Hołownia.

W spółdzielni powstała też zakładowa biblioteka. Na półkach znajdziemy współczesną literaturę, hit prof. Piketty'ego, wywiady Justyny Dąbrowskiej *Nie ma się czego bać. Rozmowy z mistrzami. Jest Małe życie* Yanagihary, *Twierdza* Saint-Exupéry'ego. Są Houellebecq, Kołakowski, Naomi Klein. A więc i *Życie na miarę* Marka Rabijsa o przemyśle odzieżowym w Bangladeszu, a także *Czego nie można kupić za pieniądze* Michaela Sandela. Niedawno do biblioteki kupiono też *Płytki umysł* Nicholasa Carra – tekst o tym, jak internet wpływa na nasze mózgi. Obecnie dostępnych jest ok. 400 tytułów, ale liczba ta systematycznie rośnie. Wśród prenumerowanych pism, obok branżowych, takich jak „Harvard Business Review”, są również „Tygodnik Powszechny”, „Magazyn Kontakt” czy „Nowy Obywatel”.

Odpowiedzialna sprzedaż opiera się na etycznym zachowaniu, stąd w bibliotece dużo książek poświęconych społecznie odpowiedzialnemu biznesowi i traktujących o zaangażowaniu w dobro wspólne.

W firmie obowiązuje także *Spółdzielniowy ład*, czyli zbiór wewnętrznych zasad i reguł, których celem jest zapewnienie równowagi między interesami członków spółdzielni, jej współpracowników, partnerów oraz klientów. ANG nie jest bowiem klasyczną organizacją. W ważnych, strategicznych sprawach decyzje podejmowane są z udziałem większości członków. Firma ma swoich liderów, ale dąży do w pełni demokratycznego, samozarządzającego się modelu, w którym liczą się wzajemna pomoc i zaangażowanie w sprawy wspólne. Co roku wszyscy spółdzielcy i pracownicy spotykają się, by dyskutować na temat sensowności tego, co robią. W ten sposób na bazie doświadczeń, które zbierają wszyscy współpracownicy, wprowadzane są poprawki do *Kodeksu etyki* i *Spółdzielniowego ładu*.

Zdarzają się trudne momenty. – Niedawno w gronie spółdzielców podjęliśmy decyzję o wykluczeniu jednego z członków. Złamał nasz kodeks etyczny wpisami w serwisie społecznościowym. Nie dotyczyły one kwestii finansowych. Dotyczyły języka nienawiści. Rozmawialiśmy z nim, próbowaliśmy przekonywać, ale nie chciał usunąć wpisów, identyfikował się z nimi. Nie było więc wyjścia – opowiada Gocłowski o praktyce respektowania przyjętych w firmie zasad. Przynajmniej, że sytuacja nie była łatwa, bo z jednej strony dotyczyła wartości, odpowiedzialności, szacunku do drugiego człowieka, czyli kluczowych elementów naszej kultury, a z drugiej – oznaczała

ryzyko zbyt daleko posuniętej ingerencji w wolność wypowiedzi. – Ludzie, którzy stają się członkami firmy, podpisują się pod naszym *Kodeksem etyki* i polityką *Spółdzielniowego ładu*. Zwykle przychodzą tu osoby, które takim podejściem kierują się już wcześniej, więc zobowiązania naszego *Kodeksu* nie są dla nich specjalnie trudne do spełnienia – ocenia Gocłowski. – W tym przypadku było inaczej.

Nie jest łatwo prowadzić takie przedsiębiorstwo. Badanie Barometr CSR, przeprowadzone przez CSR Consulting i Maison&Partners w 2016 roku, pokazuje, że choć u 72 proc. konsumentów odpowiedzialna społecznie działalność wzbudza pozytywne emocje, to jednak 30 proc. ankietowanych postrzega ją jako sposób na budowanie wizerunku firmy, a nie na prowadzenie przedsiębiorstwa. W efekcie na razie nie widać przełożenia na sprzedaż w firmach, które prowadzą jawną politykę biznesu odpowiedzialnego społecznie.

ANG nie rezygnuje jednak z prób zmieniania polskiego świata finansów. Założona w 2010 r. spółdzielnia systematycznie powiększa swoje przychody. W roku 2014 przekroczyła poziom 22,5 mln zł, rok później sięgnęła prawie 32 mln zł, a w 2016 roku ponad 40 mln zł. Te wyniki oscylują wciąż poniżej poziomu nazywanego w spółdzielni „strategią radości” – a więc zbioru celów, do których dąży cały zespół. Dziś w firmie jest już prawie 700 współpracowników, z czego ponad 200 osób to spółdzielcy. Nikt nie ma tam obaw, że zbyt wielka instytucja będzie trudna do zarządzania. **Wręcz przeciwnie: spółdzielcy wierzą, że zwiększanie liczności członków spółdzielni i pracowników rozsiansych po Polsce przyniesie dwójakie korzyści. Dużej firmie łatwiej negocjować warunki i dotrzeć do większej liczby klientów. Po drugie im więcej ekspertów będzie chciało podejmować wyzwanie odpowiedzialnej sprzedaży, tym lepiej dla polskiego rynku finansowego, bo *misseling* innych instytucji stanie się widoczniejszy, dzięki czemu łatwiej będzie go eliminować.**

Idea efektywnej i mądrzej rozwijającej się branży finansowej, świadomej swojej roli wobec interesariuszy znalazła swoje odzwierciedlenie w takich projektach jak <nienieodpowiedzialni.pl> czy wyszukiwarka odpowiedzialnych ekspertów kredytowych. Za pomocą strony <www.odpowiedzialnefinansy.pl> można w pobliżu swojego miejsca zamieszkania znaleźć najlepszego specjalistę z dziedziny finansów o oczekiwanej specjalizacji. Wszyscy pracownicy ANG poddają się publicznej ocenie klientów – ich opinie mogą być umieszczane w serwisie. Wyszukiwarka przyda się zarówno osobom prywatnym, jak i przedsiębiorcom.

# Coraz czystsza moc

**Palą, ogrzewają, utylizują, dostarczają ciepło, produkują prąd z wody, a ostatnio także ze słońca i wiatru. Są ekspertami w energetyce. Z usług komunalnych potrafią zrobić dochodowe przedsięwzięcie. I wszystko musi być przyjazne dla środowiska.**

Fińskie Fortum teoretycznie istnieje od niespełna 20 lat, ale to efekt połączenia z Neste, do którego doszło w 1998 r. Neste działa dalej na rynku naftowym, zaś Fortum kontynuuje doświadczenia dziesiątek lat swej poprzedniczki, firmy Imatran Voima, założonej w 1932 r. w celu budowy wielkiej elektrowni wodnej Imatrankoski.

Imatran Voima zbudowała już trochę elektrowni wodnych w Finlandii czy Szwecji (dokładniej rzecz biorąc: 159, tak, słownie: sto pięćdziesiąt dziewięć), wzięła w swoje zarządzanie systemy przesyłu energii elektrycznej (i zdążyła je odsprzedać, jak choćby w Finlandii czy w Szwecji). Inwestowała (własne pieniądze lub współpracując z gminą) w projekty komunalne, jak w Hogdalen, gdzie mieści się elektrociepłownia opalana wyłącznie odpadami. Firma pojawiła się w krajach

nordyckich, w Polsce, w Rosji i w Indiach. – Kiedy gdzieś inwestujemy, to zazwyczaj z myślą o perspektywie kilkudziesięcioletniej. Taki jest okres zwrotu inwestycji w energetyce – mówi Jacek Ławrecki, rzecznik Fortum.

Pojawienie się firmy w Polsce nie było dla menadżerów z Finlandii szokiem. – Różnimy się pod wieloma względami, ale wspólne wartości pozwalają nam efektywnie współpracować – zapewnia Ławrecki. Fortum funkcjonuje w Polsce od roku 2003. Zarządza 3 elektrociepłowniami: w Częstochowie, Zabrzu i Bytomiu. – Firma od lat ma w swojej strategii dążenie do produkcji czystej energii. Ale też jesteśmy realistami i uwzględniamy miejscowe warunki. Dlatego w naszych polskich elektrociepłowniach nadal istotną rolę odgrywa węgiel, który jest paliwem lokalnym – wyjaśnia rzecznik firmy.

Uruchomiona w 2010 r. elektrociepłownia z Częstochowy należy do najbardziej ekologicznych w Europie. W 2015 roku Fortum rozpoczęło inwestycję w nową elektrociepłownię w Zabrzu (kwota inwestycji to niemal 900 mln zł). Zakład zostanie uruchomiony pod koniec 2018 r. i ma produkować ciepło dla ok. 70 tys. gospodarstw domowych w Zabrzu i Bytomiu. Tym razem blisko połowa paliwa ma być produkowana alternatywnie, z odpadów. Rzeczywistość energetyczna w Polsce się zmienia, a Fortum się do tego dostosowuje. – Instalacja będzie elastyczna. Urządzenia tam montowane pozwolą na zmiany w składzie mieszanki opałowej – tłumaczy w Fortum.

Fortum zarządza również 800 km sieci ciepłowniczych w Częstochowie, Płocku i Wrocławiu (Fortum dostarcza

ciepło ok. 800 tys. osób z całej Polski). We Wrocławiu nie ma swojego zakładu produkującego ciepło, dlatego w planach jest instalacja zasilana m.in. paliwem wytwarzanym z odpadów. – Na razie skupiamy się na rozmowach z mieszkańcami i edukacji. Wiele osób jest przekonanych, że będzie to uciążliwy zakład. Doświadczenia wielu miast pokazują jednak, że to nieprawda – zapewnia Ławrecki.

Najbliższe lata w planach Fortum to zwiększanie udziału czystej, odnawialnej energii. W Indiach powstały elektrownie słoneczne, ale firma skupia się także na rozwijaniu innych zrównoważonych rozwiązań. – Nowoczesne technologie pozwolą w przyszłości zapewnić równowagę popytu i podaży w systemie energetycznym, jednocześnie dając klientom rozwiązania i usługi, których oczekują. W Finlandii aplikacja mobilna umożliwi kupno prądu w chwili, gdy jest on najtańszy. W Norwegii jesteśmy liderem wśród operatorów systemów ładowania samochodów elektrycznych. Wszędzie, gdzie inwestujemy, chcemy oferować zrównoważone rozwiązania dla miast i ich mieszkańców – wymienia Ławrecki.

pil

# Na zdrowie!

**Oshee jest młoda, dynamiczna i ekspansywna. W ciągu dekady z lokalnego gracza stała się marką rozpoznawalną globalnie. Od początku stawiała sobie za cel nie tylko nadążanie za modą, ale też jej wzmacnianie, a nawet kreowanie. Właśnie wprowadziła na rynek pierwszy całkowicie naturalny izotonik.**

Do końca XX wieku wzorzec prowadzenia biznesu polegał na podnoszeniu jakości produktów i szukaniu jak najlepszych dróg promocji swojej oferty w celu zwiększenia sprzedaży. Krótko mówiąc, należało stworzyć popyt na swój produkt. Marka Oshee poszła drogą odwrotną i obrała model bardzo zbliżony do start-upów.

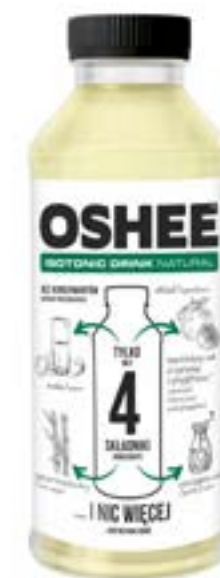
Na początek firma nie inwestowała więc w produkcję opakowań, w rozlewnię czy laboratoria. Właściciele i pomysłodawcy znali rynek i znaleźli niszę, którą uznali za wartą zagospodarowania. Rosnąca grupa osób dbających o swoją sprawność fizyczną (np. biegaczy, kolarzy) naprowadziła ich na produkcję izotoników. W efekcie opracowali więc pomysł na produkt oraz wizerunek marketingowy, znaleźli wiarygodnych wykonawców i – ruszyli ze sprzedażą. Umiejętność dostrzegania, a następnie kształtowania trendów była więc dla marki ważna od samego początku. To te zdolności pozwoliły precyzyjnie trafić do odbiorców i wzbudzić ich zainteresowanie oferowanymi napojami. Firma naprawdę świetnie poznała swoich klientów – wiedziała więc, że oczekują oni szerokiego zaangażowania, również w akcje społeczne, związane z bliskimi im problemami.

Dlatego kiedy sprzedaż uzyskała odpowiedni poziom, by zagwarantować efekt skali, Oshee zaczęła udzielać się społecznie. Na sklepowych półkach pojawiły się napoje Oshee Red Orange, a część zysku z ich sprzedaży trafiła do Stowarzyszenia Wiosna. Podobne kampanie, polegające na dzieleniu się zyskiem, Oshee prowadziła też wspólnie z Fundacją Rak'n'Roll i jej programem Boskie Matki, wspierającym walczące z rakiem kobiety w ciąży. Firma zaangażowała się również w słynną akcję „Cała Polska czyta dzieciom”. Dziś fundacja powołana przez właścicieli Oshee regularnymi zakupami sprzętu sportowego wspiera domy dziecka.

Założyciele marki zawsze mieli ambicję wsłuchiwania się w ludzi, wyprzedzania o pół kroku nie tylko konkurencji, ale przede wszystkim swoich klientów i ich postrzegania świata. Świadomi konsumenci, w myśl zasady „Jesteś tym, co jesz”, wnikliwie studiują etykiety i sprawdzają skład kupowanych produktów. Marka wyszła naprzeciw tym najbardziej wymagającym, jasno komunikując na frontach opakowań, które produkty z szerokiego asortymentu napojów i batonów nie zawierają sztucznych aromatów, barwników, konserwantów ani słodzików, oleju palmowego czy syropu glukozowo-fruktozowego.

Prawdziwym „game changerem” w kategorii napojów sportowych może okazać się nowy napój Oshee, który składa się tylko z 4 składników: wody, cukru trzcinowego, soku z cytryny i grejpfruta oraz szczypty soli i... niczego więcej. Klienci oczekują od izotoników orzeźwienia, nawodnienia, uzupełnienia energii i utraconych elektrolitów. Napój Oshee Isotonic Drink Natural spełnia te wymagania w idealny sposób: ma prosty, naturalny skład, ale jednocześnie zachowuje profesjonalną, izotoniczną formułę.

pil



# W ING wszyscy mają wpływ

**Bank jak firma technologiczna. Z tą myślą ING Bank Śląski postawił na samoorganizujące się zespoły oraz relacje wychodzące na zewnątrz organizacji. Efekt? Skuteczne wdrożenie systemu „Moje ING” i wzrost zaangażowania klientów.**

W ING nie używa się już raczej pojęcia CSR (społecznej odpowiedzialności biznesu). Za często kojarzone jest ono jedynie z działalnością charytatywną, a przy tym nie obejmuje spraw tak ważnych, jak np. zrównoważony rozwój. To ta idea dominuje teraz w myśleniu o rozwoju firmy i wspieraniu strategii biznesowej. Akcje charytatywne i wolontariat są coraz częściej przekazywane w ręce z fundacji – ING Dzieciom, której misją jest wyrównywanie szans najmłodszych, oraz Fundacji Sztuki Polskiej ING, wspierającej młodych artystów.

Od dłuższego czasu bank wdraża nowe podejście do zarządzania zespołem. Niezwykle ważne jest, by rozmawiać z pracownikami, powodować ich zaangażowanie (ING może się w tej kwestii pochwalić bardzo wysokim 80–90 proc. wynikiem). Sprzyjają temu regularne rozmowy z pracownikami na temat realizacji celów, a także oferta różnorodnych narzędzi rozwoju, tj. szkoleń czy staży (ok. 32 godzin w roku), motywacja finansowa i w końcu – duża swoboda w planowaniu swojego czasu. Dla ING można np. pracować z domu, a także dostać urlop dłuższy niż zapewniany prawem



fotografie:  
archiwum  
ING Banku Śląskiego

(ci, którzy mają niepełnosprawne dzieci, dostają 5 dodatkowych dni). Wszystko to procentuje – średni staż pracy pracownika tego banku to 11,4 (wśród menadżerów nawet 15,4) roku. Ponad 75 proc. pracowników deklaruje, że jest zadowolonych z wykonywanej pracy i ma poczucie spełnienia. Dzięki takim działaniom ING jest atrakcyjnym pracodawcą dla ludzi młodych, poniżej 30 roku życia – to oni stanowią ok. 15 proc. całego zespołu. Mniej więcej 52 proc. stanowisk obejmują przy tym kobiety\*. Firma motywuje też swoich pracowników do zaangażowania się: organizuje spotkania z inspirującymi osobami, stara się wciągać wszystkich w proces tworzenia takich dokumentów jak *Zbiór wartości i zachowań, jakimi kieruje się firma*, zachęca do dzielenia się uwagami zarówno w zespołach, jak i ze swoimi przełożonymi. W trudnych sytuacjach można również porozmawiać z przełożonymi przez anonimowe czaty.

W dłuższej perspektywie wszystko to przekłada się na... poziom satysfakcji klientów. Jeśli zespół jest zaangażowany i widzi sens w dokładnym informowaniu klientów o ofercie, zbiera od nich uwagi na temat działań i produktów oferowanych przez firmę. Budowanie takiej relacji i dbanie o nią jest nieodzowne, kiedy bank chce stworzyć i doskonalić swoją ofertę razem z klientami. Dzięki temu może oferować im dokładnie takie rozwiązania, jakich potrzebują, i w formie, jakiej oczekują – online, mobilnie, zdalnie.

ING wychodzi z założenia, że dzisiejszemu sektorowi bankowemu brakuje chęci uważnego wsłuchiwania się

w głos klientów i umiejętności wykorzystywania ich bezcennych opinii. Potrzebuje elastyczności, szybkości działania i otwarcia na zupełnie nowy element, jakim jest testowanie.

Bazując m.in. na doświadczeniach holenderskich, bank zdecydował się od początku tego roku wdrożyć na dużą skalę metodykę Agile, czyli oddać część sterów samodzielnemu zespołowi. Dzięki temu, że pracownicy sami uzgadniają między sobą najskuteczniejszy sposób działania, udaje się ograniczyć ilość czasu marnowanego na błędne założenia, nierealne projekty, a także zwiększyć tempo i efektywność pracy nad projektami sensownymi. W taki sposób działa obecnie już ok. 1000 z 8100 pracowników banku. W styczniu br. Agile wdrożono w grupie odpowiedzialnej za bankowość detaliczną (w zespołach oprócz pracowników biznesowych znajdują się też pracownicy z IT i operacji), a od czerwca w modelu Agile pracuje również obszar bankowości korporacyjnej.

Poszczególne zespoły nie są jednak pozostawiane same sobie. Wszystkiemu na bieżąco przyglądają się Agile coachowie, czyli osoby oferujące pomoc metodologiczną w usprawnianiu procesów. Coachowie są też odpowiedzialni za bieżące oceny samego przebiegu wdrażania modelu Agile. Natomiast co 90 dni w gronie menadżerów oceniany jest każdy projekt z osobna.

Ciekawostką jest uruchomienie w ramach ING Banku Śląskiego Innovation ING Lab – swego rodzaju akceleratora wewnętrznego, przestrzeni, która sprzyja kreatyw-

nemu myśleniu i tworzeniu rewolucyjnych rozwiązań, także z udziałem wybranych partnerów zewnętrznych.

Metodyka Agile wywodzi się z sektora IT. W ING była wdrażana z myślą o stworzeniu firmy technologicznej – m.in. po to, by podnieść satysfakcję klientów. Takie podejście pozwala eliminować błędne założenia na każdym etapie prac – od wizji do prototypów – i wprowadzać na rynek tylko właściwe rozwiązania.

O tym, że taki sposób myślenia i działania ma sens, przekonano się podczas budowy nowego systemu, nazywanego „Moje ING”. Projektując to intuicyjne i przyjazne rozwiązanie, bank zaangażował ponad 200 specjalistów z różnych branż, jednak za najlepszych ekspertów uznał ostatecznie samych klientów. Od początku i na bezprecedensową skalę prowadzono badania użyteczności systemu, co skutkowało ponad 600 godzinami badań i testów z klientami. Na tej podstawie zbudowano rozwiązania mające jak najlepiej odpowiadać potrzebom użytkowników.

W pilotażu „Mojego ING” wzięła udział wybrana grupa klientów, którzy przekazali ponad 2500 opinii i sugestii. Można zatem powiedzieć, że ostateczna wersja programu dostała certyfikat jakości od osób najbardziej zainteresowanych – klientów.

\* Wg Raportu zintegrowanego ING Banku Śląskiego za lata 2015–2016.



# Spółeczna odpowiedzialność na szczeblu rządowym

**Od ponad roku przy Ministerstwie Rozwoju spotyka się robocza grupa ds. edukacji i popularyzacji „corporate social responsibility”. Zarówno pojęcie społecznej odpowiedzialności biznesu, jak i idąca za nim filozofia działania są w Polsce mało znane, stąd pomysł, by ideę CSR wprowadzić na szczebel formalny.**

Przedsięwzięcie prowadzone jest przy współpracy z Forum Odpowiedzialnego Biznesu. Wprowadzenie idei CSR w społeczny obieg daje szansę, że dotrą one do każdego, kto może mieć wpływ na jakość gospodarki, na jej poziom etyczny.

Współpraca resortu z FOB układa się dobrze, bo urzędnicy przygotowali się do odpowiedzi na zobowiązania podjęte podczas forum Organizacji Narodów Zjednoczonych, dotyczące wdrażania Agendy 2030, czyli deklaracji

pokazującej, co należy i trzeba uczynić, aby poprawić sytuację wielu społeczeństw. Wśród obranych celów znajdują się zatem: walka z ubóstwem i całkowite zlikwidowanie głodu na świecie, poprawianie zdrowia obywateli oraz podnoszenie jakości życia, dążenie do równości płci, poprawienie jakości wody pitnej i ograniczenie jej marnowania, a także zwiększenie udziału energii odnawialnej w energetyce i – w końcu – działania na rzecz klimatu. Dokument jest obszerny, mowa w nim także o wzmocnieniu stabilności gospodarki, innowa-

cyjności i zrównoważonym rozwoju miast. Jak Polska realizuje te wyzwania, mamy raportować w lipcu 2018 r.

Konieczne stało się więc znalezienie narzędzia, które pozwoliłoby te cele osiągnąć. Jak przekonują w resorcie, przygotowana tam rządowa *Strategia na rzecz odpowiedzialnego rozwoju* okazała się najlepszą odpowiedzią, porusza bowiem niemal wszystkie problemy wymienione w Agendzie 2030. SOB ma oczywiście znaczenie głównie gospodarcze, ale deklarowany w niej rozwój gospodarki Polski, uwzględniający dobro społeczeństwa oraz wzmocnienie instytucji państwowych, jest w ministerstwie uznawany za bardzo bliski założeniom dokumentu uzgodnionego przez wspólnotę międzynarodową.

Strategia rządowa to jedno, ale bez udziału odpowiedzialnego biznesu, bez uczelni promujących takie podejście i samorządów je egzekwujących nie uda się jej skutecznie wdrożyć. Stąd m.in. grupa robocza ds. popularyzacji i edukacji. Spotkania kilkudziesięciu uczestników zespołu pokazały, że CSR w Polsce ma wiele odmian, ponieważ poszczególne instytucje i konkretni ludzie rozumieją pod tą nazwą różne rzeczy. Ostatecznie jednak, w podgrupach, udało się wypracować kilka projektów, które mają pomóc w popularyzacji odpowiedzialności społecznej.

Szansę na realizację ma choćby projekt nazwany „Bank inicjatyw edukacyjnych w zakresie CSR”. Chodzi o serwis internetowy, gdzie będzie można zobaczyć, co robią w kwestii CSR inni, lub pochwalić się swoimi osiągnięciami. Największym wyzwaniem dla obradującego zespołu okazało się stworzenie klarownej dla wszystkich terminologii. Na temat praktyk CSR ma też powstać specjalna baza wiedzy dla małych i średnich przedsiębiorstw (tu znów wyzwaniem jest ustalenie wspólnej i zrozumiałej terminologii) oraz *Kodeks odpowiedzialnego przedsiębiorcy*. Dokument ma zostać opublikowany wiosną 2018 r. Wtedy też powinna ruszyć kampania społeczna.

Jednym z ciekawszych dokumentów, jakie powstaną w efekcie prac zespołu, będzie deklaracja *Spółecznej odpowiedzialności uczelni*. 13 listopada w siedzibie resortu mają ją podpisać rektorzy uczelni. Uroczystość odbędzie się podczas gali ogłoszenia nagród Verba Veritatis za najlepsze prace licencjackie, magisterskie i doktorskie poświęcone etyce w biznesie. Wraz z deklaracją ma zostać opublikowana również skierowana do zarządzających polskimi uczelniami broszura z poradami i przykładami dobrych praktyk.



# Miejsce pracy dla każdego

**Osoby z niepełnosprawnością są w krakowskich centrach usług biznesowych pełnowartościowymi pracownikami. Na włączeniu osób niepełnosprawnych w środowisko pracy zależy wszystkim i wszyscy na tym korzystają. Z jednej strony firmy i ich pracownicy, z drugiej strony społeczeństwo, podnosząc swoją świadomość na temat niepełnosprawności.**

– Zaczynamy od ogłoszenia o pracę – mówi Katarzyna Lampart, specjalistka ds. marketingu rekrutacyjnego w Shell Business Operations. – Osoba z niepełnosprawnością już od samego początku musi wiedzieć, że ma równe szanse w ubieganiu się o pracę, gdyż istotne są dla nas kompetencje. To powinno być dla wszystkich oczywiste, ale na razie tak nie jest. Do każdego ogłoszenia dodajemy więc informację, iż osoby z niepełnosprawnością są w naszej firmie mile widziane.

W Polsce pokutuje przekonanie, że osoby niepełnosprawne są w firmie problemem i traktowane są często jako nadające się do wykonywania jedynie najprostszej pracy. Dlatego warto podkreślać, że tak nie jest. Jedną z osób niepełnosprawnych zatrudnionych w krakowskim oddziale Shell wprost przyznaje, że gdyby nie jasna deklaracja firmy w ogłoszeniu, nie starałaby się o tę pracę. Z perspektywy czasu cieszy się również, iż zdecydowała się wykonać odważny ruch i aplikować do tak dużej korporacji.

Osoby z niepełnosprawnościami coraz częściej pojawiają się w roli pracowników krakowskich centrów usług, a krakowskie firmy coraz częściej mówią o swojej otwartości względem nich. Shell Business Operations było sponsorem Come CloSeR Show 2017, konferencji, której organizatorem jest Fundacja Menedżerowie Jutra MOFFIN.

– Wydarzenie to jest świetną okazją dla wielu firm, by podzielić się dobrymi praktykami, porozmawiać o wyzwaniach związanych z zatrudnianiem osób niepełnosprawnych. Dla wszystkich członków konferencji jest jasne, że nie ma tu konkurencji i każdy z nas ma wspólny cel. Wszyscy chcemy stworzyć komfortowe i dostępne środowisko pracy – tłumaczy Lampart.

Nowe biuro Shell Business Operations dostosowane jest do potrzeb osób niepełnosprawnych. W firmie funkcjonuje grupa pracowników prężnie działająca na rzecz usprawnień i doskonalenia różnych obszarów

firmy w tematyce niepełnosprawności. Dodatkowo osoby z niepełnosprawnością w ramach opieki medycznej mają zagwarantowany pakiet VIP poszerzony o dedykowanego asystenta.

Ponadto, aby ułatwić przygotowanie stanowiska pracy dla osób niepełnosprawnych, w Shell stworzono specjalną platformę ułatwiającą wprowadzenie koniecznych adaptacji. Platforma ta umożliwia dobór odpowiednich programów komputerowych czy sprzętu biurowego.

– Jesteśmy jednak świadomi, iż każda niepełnosprawność powinna być traktowana indywidualnie, dlatego już na etapie rekrutacji zachęcamy do otwartej rozmowy na temat potrzeb osoby niepełnosprawnej – wyjaśnia Lampart i dodaje:

– W Shell prowadzimy szkolenia dotyczące świadomości niepełnosprawności. Mają one na celu budowanie pewności i otwartości w obcowaniu z osobami niepełnosprawnymi. Przełamania pewnych barier potrzebują jednak obie strony. Chcemy, by osoby niepełnosprawne poczuły, że są uznawane za pełnowartościowych pracowników i że warto wykonać krok w stronę zatrudnienia.

Polityka coraz szerszego włączania osób niepełnosprawnych do pracy jest dla firm korzystna z wielu powodów. Bez wątpienia różnorodność ta pozytywnie wpływa na jakość współpracy w zespołach. Mówiąc szerzej o zarządzaniu różnorodnością, Shell dba o budowanie kultury szacunku względem wszystkich pracowników bez względu na ich płeć, wiek, narodowość, orientację seksualną czy niepełnosprawność.

W krakowskim oddziale Shell jest obecnie zatrudnionych ok. 400 obcokrajowców reprezentujących 36 narodowości. Większość pracowników krakowskiego oddziału to kobiety, a średnia wieku wynosi 32 lata.

pil

# Dochód, czyli bezpieczeństwo

**„Czy się stoi, czy się leży, 2 tysiące się należy” – kpiono na temat jakości pracy w PRL, uzasadniając tym porażkę ekonomiczną całego systemu. Jednak dziś podobne kroki rozważane są na poważnie. W Finlandii już je testują – dostajesz pieniądze niezależnie od tego, czy pracujesz, czy nie.**



Tegoroczna konferencja w Davos była nietypowa pod wieloma względami. Od czasu krachu z 2008 r. nie słyszano tylu dyskusji burzących dotychczasowy porządek ekonomiczny.

Jedną z największych widowni zebrał wykład o dochodzie gwarantowanym w wykonaniu Guya Standinga, propagatora terminu „prekariat”, określającego nową grupę społeczną: ludzi bez stałej pracy, bez szans na stabilne i przewidywalne dochody. Nic dziwnego, że twórca określenia i teorii opisujących sytuację społeczno-ekonomiczną pokolenia tzw. millenialsów

zajmuje się również kwestią zmniejszania nierówności ekonomicznych i popularyzuje m.in. ideę dochodu gwarantowanego.

Pojęcie dochodu gwarantowanego w wersji najogólniejszej zakłada, że każdy obywatel, niezależnie od swojej sytuacji materialnej, wieku, wykształcenia i innego rodzaju statusów i miar, otrzymuje od państwa jednakową, określoną na poziomie ustawowym kwotę – pensję gwarantującą mu życie na minimalnym poziomie. Coraz głośniejszą mową o tym ekonomiści, czego dowodem choćby wspomniane wystąpienie Standinga.

Trzeba zaznaczyć, że pomysł nie jest nowy (liczy sobie już ponad pół wieku). Wciąż nie ma jednak zgody, jakie przepisy byłyby potrzebne do jego wdrożenia. Nie wiadomo więc, o jakiej minimalnej jakości życia mówimy, jak traktować dzieci, emerytów, skąd wziąć na to środki albo wreszcie – po co wprowadzać takie rozwiązanie. Wskazówką, jak skomplikowane są teorie prowadzące do idei dochodu gwarantowanego, niech będzie fakt, że wśród jej zwolenników są nie tylko lewicujący intelektualiści czy działacze partii socjalistycznych, ale był także człowiek z przeciwnej strony barykady: neoliberal Milton Friedman. Coraz liczniejsza

grupa ekonomistów i intelektualistów widzi w propozycji wprowadzenia dochodu gwarantowanego jedno z rozwiązań problemów związanych ze zmianami we współczesnej gospodarce: robotyzacją, koniecznością dalszego uelastyczniania warunków pracy, mobilnością, wydłużaniem czasu pracy itp.

Dochód gwarantowany – zdaniem Standinga i innych zwolenników idei – ma być metodą, która pozwoli zapobiec skrajnej biedzie i podnieść stopę życiową mniej zamożnych klas społecznych, a dzięki temu ustrzeże nas przed rewolucjami lub buntami społecznymi, do jakich może doprowadzić rosnąca świadomość szokujących nierówności ekonomicznych.

Jak wielkie to nierówności, systematycznie pokazuje w swoich raportach brytyjska organizacja Oxfam. W terminie zbliżonym do szczytu w Davos opublikowała kolejny dokument, wskazujący, że 8 najbogatszych mężczyzn na świecie dysponuje majątkiem równym majątkowi biedniejszej połowy ludzkości. Raport był wprawdzie krytykowany za niewłaściwe metody badania, ale nikt nie jest w stanie podważyć najważniejszego, co z niego wynika: najbogatsi zarabiają dziesiątki lub setki razy więcej niż biedniejsi. Społeczeństwa wielu krajów widzą te ogromne rozbieżności i coraz silniej skłaniają się ku populistycznym politykom. Stąd notowania Donalda Trumpa, Marine Le Pen, Pawła Kukiza, Waltera Hofera.

Innym argumentem na rzecz dochodu gwarantowanego jest po prostu rysująca się coraz wyraźniej wizja świata z gigantycznym niedoborem miejsc pracy – wizja, która może się ziścić jeszcze za życia dzisiejszych 50-latków. General Motors, wielki koncern przemysłowy i motoryzacyjny zatrudniający dziesiątki tysięcy osób, już teraz jest niżej wyceniany na giełdach niż Facebook (który zatrudniał ok. 15 tys. osób) czy Uber (6,7 tys. osób). Co więcej, zmiany w postrzeganiu przestrzeni miejskiej – a w miastach w 2030 r. ma mieszkać 70 proc. ludzkości – prowadzą do spadku zainteresowania nowymi samochodami. Zaś te, które będą produkowane, coraz częściej będą powstawały wyłącznie dzięki pracy maszyn. Jak wskazuje raport z Oxford Martin School, w ciągu najbliższych kilkunastu lat robotyzacja i cyfryzacja mogą doprowadzić do zlikwidowania nawet połowy obecnych miejsc pracy. Samoprowadzące się auta lub sklepy zupełnie samoobsługowe już funkcjonują i mogą szybko zdominować rynki. Co z taksówkarzami i pracownikami marketów? Co z pracownikami fabryk, które będą produkowały mniej samochodów?

Dochód gwarantowany ma nie tylko zapewnić tym ludziom spokój i komfort planowania przyszłości, ale też wyciągnąć ich z pułapki trwałego ubóstwa. Obecny system zasiłków społecznych (niezależnie od kraju) bardzo często zniechęca do podejmowania pracy, bo ta może pozbawić zasiłku (jedną z nielicznych metod pozwalających tego uniknąć był polski system „złotówka za złotówkę” Władysława Kosiniaka-Kamysza zlikwidowany przez obecny rząd i zastąpiony programem 500+). Dlatego właśnie dochód gwarantowany byłby niezależny od wszystkich współczynników. Dzięki temu osoby o niskich dochodach nie byłyby zmuszone do podejmowania pracy na najniższych szczeblach i najgorzej płatnych stanowiskach, co z kolei mogłoby zmienić strukturę płac i zmniejszyć nierówności zarobkowe.

Wiele argumentów ma charakter ideologiczny lub wywodzi się z przekonań moralnych. Można usłyszeć zatem, że taki program byłby po prostu za drogi lub że zniechęciłby ludzi do pracy. Część krytyków przekonuje także, że całkowita równość nie oznacza w tym wypadku sprawiedliwości. Bo czy sprawiedliwe jest, by człowiek zamożny dostawał od państwa taki sam dochód gwarantowany jak osoba potrzebująca i biedna?

Z tymi wątpliwościami radzą sobie Skandynawowie. Fundamenty myślenia o państwie zbiegają się tam z dbaniem o dobro wspólne. Nikogo nie dziwi, że wszyscy płacący podatki mają taki sam dostęp do służby zdrowia, dróg i innych efektów funkcjonowania państwa. Nikogo nie zaskakuje, że niezależnie od poziomu zamożności obywatelom przysługują takie same zasiłki i programy. Status majątkowy ma tam jedynie wpływ na przydział mieszkania komunalnego, na wysokość emerytury, czy wreszcie – na poziom zasiłku dla bezrobotnych (przez pierwsze miesiące po utracie pracy obywatele Szwecji otrzymują zasiłek przeliczany według ich dotychczasowych dochodów).

Niezależnie od modelu polityki socjalnej przyjętego w krajach zachodnich dochód gwarantowany jest dla jego zwolenników przedłużeniem idei państwa dobrobytu. Opieka zdrowotna zasilana składkami pobieranymi w różnych wysokościach od obywateli jest wszystkim oferowana na takim samym poziomie (jaki on jest, to odrębna sprawa). Dochód gwarantowany jest więc kolejnym krokiem zapewnienia obywatelom minimum egzystencji. Nie zaskakuje zatem, że polski program 500+ jest bardzo często uznawany za prototyp dochodu gwarantowanego – ograniczony wg możliwości finansowych państwa.

Zarzuty wobec koncepcji dochodu gwarantowanego dotyczą różnych kwestii, zwłaszcza możliwości sfinansowania takiego programu. Podobne kontrowersje wzbudzały pierwsze systemy emerytalne czy system publicznej opieki zdrowotnej wprowadzane przez państwa Europy Zachodniej. Dziwić może zatem, że ideę dochodu gwarantowanego popiera nawet część gospodarczych liberałów, bo z pewnością będzie ona dużym obciążeniem.

Tymczasem dla niektórych zwolenników dochód gwarantowany ma być sposobem na ograniczenie biurokracji. Każdy z krajów Europy Zachodniej ma dziś w swej polityce społecznej kilkanaście lub kilkadziesiąt form dodatków, zasiłków, ulg itp. Do wszystkich tych programów trzeba wymyślać kryteria, muszą je także obsługiwać tysiące urzędników. Ich pracę (np. pracowników ośrodków pomocy społecznej) można by lepiej wykorzystać, gdyby zlikwidować tę mnogość dodatków socjalnych lub komunalnych na rzecz jednego dochodu gwarantowanego. Takie założenie przyświeca m.in. fińskiemu eksperymentowi z dochodem gwarantowanym. Urzędnicy z Finlandii liczą, że eksperyment pomoże im zweryfikować skuteczność niektórych form pomocy socjalnej.

Tu właśnie dochodzi do rozbieżności, bo lewicowi zwolennicy dochodu uważają, że powinien on się stać kolejnym elementem systemu – jego zaletą będzie ograniczenie wydatków na inne programy, ponieważ wielu osobom podnieść się stopa życiowa. I po raz kolejny podkreślają, że nikt nie ma wątpliwości co do rynku pracy, który z czasem będzie coraz bardziej niepewny i niestabilny. Dochód gwarantowany ma zapewniać poczucie tej stabilności, przekierowywać energię zużywaną przez bezrobotnych na poszukiwanie jakiegokolwiek pracy lub załatwianie niezliczonych formalności na uwolnienie ich pomysłów.

Większa swoboda i stabilność dla bezrobotnych to drugi element zachęcający Finów do eksperymentu. W grupie osób otrzymujących w Finlandii dochód gwarantowany (to wylosowana grupa 2 tys. ludzi) są ludzie, którzy mówią wprost: ta kwota nam wystarcza, nie chcemy szukać pracy, bo przekroczyliśmy próg pozwalający nam pobierać zasiłek mieszkaniowy. Większa część decyduje się jednak szukać nowej pracy (nie boją się) albo zakłada lub ponownie rozkręca firmę. I znowu: kiedy prowadzi się firmę, traci się zasiłek dla bezrobotnych (to powszechna w Europie reguła), dlatego część osób wykonujących nisko dochodowe prace zamykała swoje firmy. Zasiłek dla bezrobotnych był bezpieczniej-

szy (w Finlandii wynosi on średnio 750 euro). Dochód gwarantowany daje bezpieczeństwo i niezależnia od fluktuacji dochodów.

Poczucie stabilności, jakie mógłby przynieść dochód gwarantowany, okupione będzie jednak koniecznością przebudowy systemów podatkowych, emerytalnych i zdrowotnych w każdym kraju wprowadzającym to rozwiązanie. Wielu ekonomistów zwraca też uwagę, że może on doprowadzić do rozpowszechnienia się pracy na czarno lub niekontrolowanego wzrostu szarej strefy – skoro dochód gwarantowany będzie pokrywał niezbędne składki, zabraknie motywacji, by opodatkowywać resztę wpływów. A mniej składek to oczywiście negatywny wpływ na fundusze emerytalne czy rentowe.

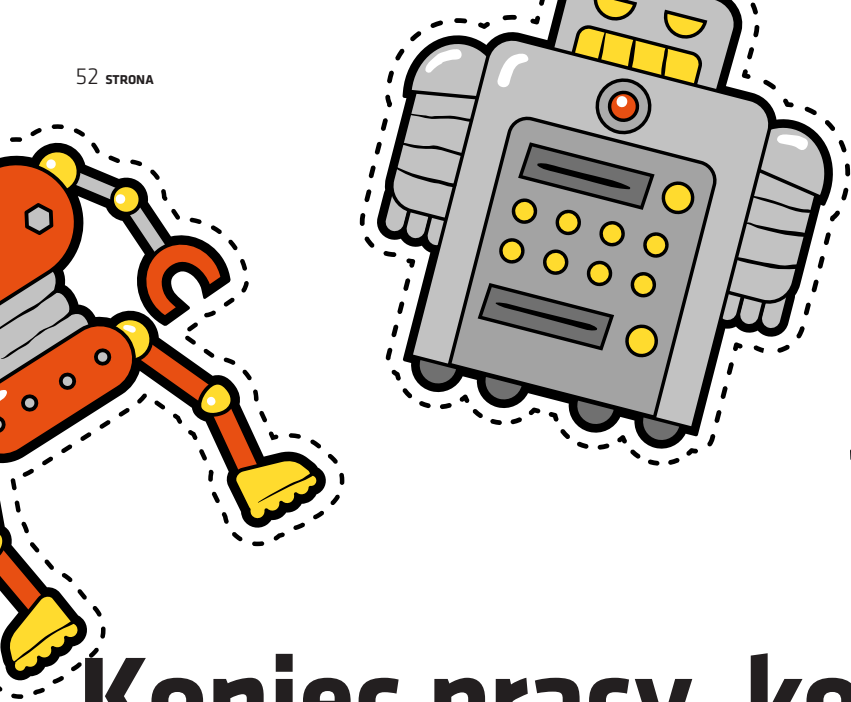
Dlatego idea dochodu gwarantowanego w nieunikniony sposób prowadzi do emerytury obywatelskiej – przyznawanej nie za przepracowany czas, wpłacone składki, ale za sam fakt posiadania obywatelstwa danego kraju i osiągnięcie odpowiedniego wieku.

Dochód gwarantowany doprowadzi zatem do spadku wpływów do kasy państwa. Z drugiej jednak strony do tego samego będzie prowadzić postępująca robotyzacja przemysłu i cyfryzacja usług. I tak trzeba więc dyskutować o nowych formach pobierania podatków. Ekonomiści szukają dziś środków, przebudowując modele podatków pośrednich (jak VAT czy podatki zawarte np. w paliwie). Pojawiają się jednak również pomysły ozusowania pracy maszyn – chodzi o to, by zyski płynące z pracy robotów opodatkować w sposób podobny do dzisiejszego opodatkowania i oskładkowania pracy człowieka.

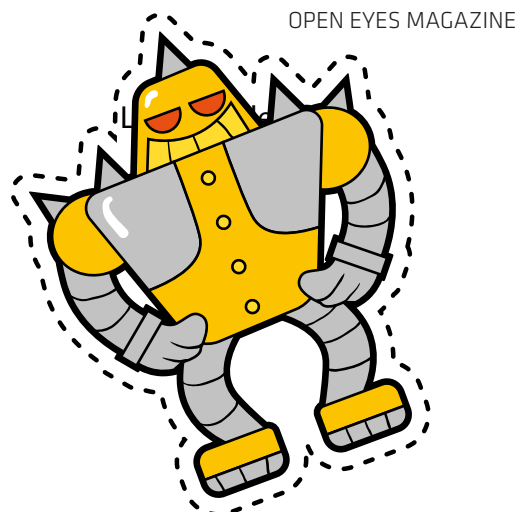
Dochód gwarantowany ma szansę sprawić, że będziemy żyli w świecie, w którym zapisy Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka mówiące o tym, iż każdy człowiek ma prawo do życia na poziomie zapewniającym mu zdrowie i dobrobyt, żywność, ubranie i dach nad głową, staną się rzeczywistością. Jak będzie, nikt dziś jeszcze nie jest w stanie przewidzieć. Wiadomo natomiast, że na pewno ubędzie miejsc pracy w istniejących sektorach, zmniejszy się także stabilność zatrudnienia, będziemy musieli się przekwalifikowywać, a także – że społeczeństwa zachodnie się starzeją. Nie ma też dobrej odpowiedzi na pytanie, co zrobić z coraz większą falą migracji, a jeśli ją przyjąć, to jak nie zaburzyć ugruntowanej struktury państw dobrobytu.

Bartosz Piłat





# ROBOTS



## Koniec pracy, koniec usług?

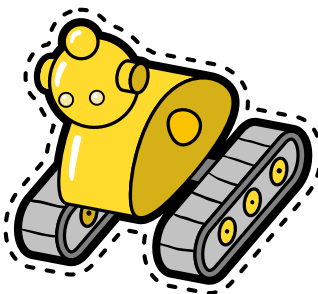
**Poziom robotyzacji światowej gospodarki zwiększa się co roku o kilkanaście procent. Wartość usług realizowanych poprzez aplikacje podobne do Ubera liczona jest już w miliardach dolarów. Te dwa trendy zdają się dominować w gospodarce. Także w Polsce.**

W 1954 roku George Devol skonstruował pierwszego programowalnego robota przemysłowego. Musiało jednak minąć prawie 7 lat, zanim robot ten zastąpił ludzi przy pasie produkcyjnym w fabryce samochodowej General Motors. Dziś tempo robotyzacji jest wielokrotnie szybsze, liczba nowych urządzeń wzrasta lawinowo.

Coraz częściej roboty pojawiają się też w naszym codziennym życiu. Firma iRobot, słynąca z produkcji urządzeń samoodkurzających, do 2015 roku sprzedała już 13 mln tego typu produktów. Autonomiczne samochody, które są niczym innym jak robotami transportowymi, najprawdopodobniej w ciągu kilku najbliższych lat zostaną pełnoprawnymi uczestnikami ruchu drogowego – to będzie prawdziwa transportowa rewolucja.

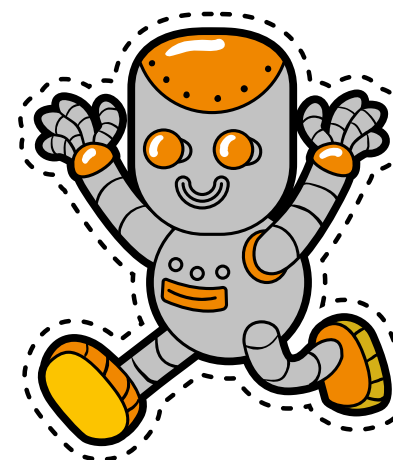
Wskazówką, z jak ważnym zjawiskiem mamy do czynienia, są nie tylko liczby, ale też głośny przed 3 laty zakup zajmującej się innowacjami w dziedzinie robotyki firmy Boston Dynamics przez Google. Internetowy gigant lubi wyprzedzać trendy, dlatego nie dziwi, że zdecydował się zainwestować w robotykę. W tę branżę lokują kapitał także Chińczycy, którzy coraz częściej odchodzą od gospodarki opierającej się na taniej sile roboczej. W swoich fabrykach Państwo Środka zastępuje robotników robotami tak samo, jak czynią inne wysoko rozwinięte kraje. Według wspomnianej IFR w ciągu 2 lat 40 proc. światowej produkcji robotów przemysłowych będzie w posiadaniu firm produkujących w Chinach. Jeśli tak się stanie, w ciągu owych 2 lat liczba użytkowanych robotów zwiększy się tam dwuipółkrotnie, przekraczając poziom 600 tys. maszyn.

### GINĄCE ZAWODY

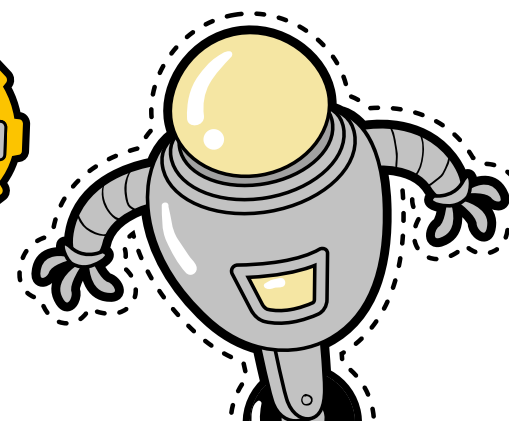
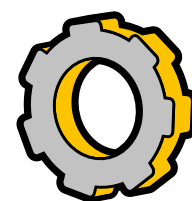


Nie dziwi więc, że w mediach widzimy coraz więcej tekstów poświęconych rynkowi pracy i pytających, co stanie się z ludźmi, których zastąpią roboty. Brytyjska telewizja BBC stworzyła listę zawodów zagrożonych likwidacją. W świetle szacunkowych analiz Boston Consulting Group groźba ta wydaje się nad wyraz realna. Zdaniem analityków firmy w ciągu najbliższych 8 lat robotyzacja zwiększy globalną produktywność od 10 do 30 proc., jednocześnie redukując koszty pracy nawet o 25 proc.

Na każde 10 tys. pracowników w skali świata przypadają dziś 62 roboty przemysłowe. W Europie średnia jest wyższa: na każde 10 tys. par rąk do pracy – 85 automatów. Niekwestionowanym liderem robotyzacji jest Korea Południowa ze współczynnikiem wynoszącym 531. USA, ze 176 robotami na 10 tys. pracowników, również plasuje się w ścisłej światowej czołówce, a prognozowany wzrost jest tam szacowany na 5–10 proc. rocznie. Najwyżej notowany kraj europejski to Niemcy ze wskaźnikiem 301.



# MACHINE



## EUROPA JEST LIDEREM, POLSKA NIE

Europa jest obecnie najbardziej zrobotyzowanym rejonem świata. Aż 14 spośród 22 krajów znajdujących się powyżej światowej średniej nasycenia gospodarki robotami to państwa Starego Kontynentu.

Polska znajduje się obecnie sporo poniżej średniej europejskiej, a także światowej. Na 10 tys. pracowników przypadają u nas zaledwie 22 roboty. Łącznie w polskich fabrykach jest ich tylko 8 tys. Dla porównania w Niemczech codziennie swoje zadania wykonuje 184 tys. automatów, a za 2 lata ta liczba ma przekroczyć 217 tys. Czesi mogą pochwalić się wskaźnikiem robotyzacji na poziomie 93.

IFR prognozuje jednak, że Polska w najbliższych latach będzie gwałtownie podnosić poziom robotyzacji, nawet w tempie 20 proc. rocznie. To głównie za sprawą branży motoryzacyjnej, która coraz chętniej lokuje swoje fabryki i linie montażowe w naszej części Europy, a tym samym wzmacnia presję na robotyzację.

Do pracy robotów stopniowo przekonuje się rolnictwo. Maszyny coraz częściej wyręczają rolników i hodowców bydła. W tym roku jeden z liderów branży świętował wypuszczenie na rynek 20-tysięcznego robota wykorzystywanego do dojenia krów. Powoli rozwija się rynek robotów używanych w medycynie. Rękę na pulsie tej branży trzyma m.in. Google, który w kooperacji z jednym z potentatów rynku medycznego pracuje nad własnym robotem medycznym.

## EKONOMIA NA ŻĄDANIE DOMINUJE

Tym, czym dla zmian w produkcji stała się robotyzacja, tym dla sektora usług są dziś aplikacje mobilne, za którymi stoi koncepcja tzw. ekonomii na żądanie. Zaczęło się od Ubera. Tak przyjęła się termin „uberyzacja”, oznaczający nie tylko zmianę technologiczną, ale przede wszystkim społeczno-ekonomiczną. Ekonomia na żądanie pozwala dostarczać usługi w momencie zgłoszenia na nie zapotrzebowania. Jeszcze kilkanaście lat temu to internet dawał, tak klientom, jak i dostawcom usług, możliwość korzystania z serwisów ogłoszeniowych. Drugim etapem na drodze do uberyzacji stało się włączenie w ten proces społeczności, które oceniały i polecały usługi oraz produkty.

Aplikacje i e-biznesy oparte na modelu Ubera to kolejny krok pozwalający na szybszy dostęp i lepsze wykorzystanie usług. Oprócz natychmiastowej dostępności uproszczeniu uległ proces szukania ofert. Cała wymiana odbywa się za pośrednictwem smartfona. Do tego dochodzi standaryzacja usług niezależnie od ich lokalizacji. Z Uberem próbują walczyć korporacje taksówkarskie na całym świecie. Podobnie jak hotelarze z popularną aplikacją Airbnb pośredniczącą w wyszukiwaniu noclegów u prywatnych właścicieli. Jednak nowej fali raczej nie zatrzymają, bo kolejne aplikacje zmieniają model funkcjonowania usług w coraz większej liczbie branż, tj. rynek pracy (Elance-oDesk, PeoplePerHour, SuperTasker, Job Square), sprzedaż (Karosso, Beepi), usługi drobne (Washio, FlyCleaners, Massagio), dostarczanie jedzenia (Foodler, Grubhub, SpoonRocket, Rebel).

Firma Sedlak&Sedlak policzyła niedawno wzrost nakładów na start-upy w ramach modelu ekonomii na żądanie. Od 2013 do 2015 roku finansowanie tego typu przedsięwzięć wzrosło z 672 mln do 3,7 mld dolarów. Polskie start-upy też wpisują się w nowy trend zmieniający rynek usług.

Na czele tego peletonu znajduje się dziś aplikacja Job Square, która chce być Tinderem rynku pracy. Łączy ona prostotę randkowej aplikacji i filozofię Ubera, dając możliwość natychmiastowego kontaktu pracodawcy z potencjalnym pracownikiem i ograniczając cały proces rekrutacji do rozmowy telefonicznej, a do tego jest darmowa. Aplikacja stała się konkurencją dla tradycyjnych agencji pracy. W niespełna rok pozyskała ponad 100 tys. użytkowników w Polsce i Ukrainy. Co znamienne, w kieszonkową agencję pracy zainwestowali ludzie związani z największą agencją pracy w Polsce i całej Europie Środkowej. Być może wiedzą, że zmiana jest nieuchronna.

**Tomasz Wojciechowski**  
Job Square

# Zjeść ciastko...

**Kodeks pracy przyszłości to dokument trudny do stworzenia, z jednej strony wymaga bowiem utrzymania zabezpieczeń dla pracowników, a z drugiej – musi dać pracodawcom więcej swobody, by mogli reagować na coraz dynamiczniejsze zmiany w świecie.**

Zastanawiając się nad kodeksem pracy przyszłości, myślimy przede wszystkim o konieczności nowej regulacji stosunków pracy, która pozwoli odejść od przepisów kodeksu stworzonego ponad 40 lat temu. Coraz bardziej paląca potrzeba zmiany tego prawa może prowadzić do wniosku, że każdy napisany od nowa kodeks pracy będzie już kodeksem pracy przyszłości. Wśród ludzi zajmujących się tą tematyką pojawia się oczywiście oczekiwanie pełnej jego harmonizacji z prawem Unii Europejskiej oraz posłużenia się nową, współczesną terminologią.

Tak naprawdę chodzi o stworzenie aktu prawnego, który uwzględni zmiany zachodzące w naszym otoczeniu gospodarczym. Nie jesteśmy dziś w stanie przewidzieć przyszłości prawa pracy, czyli dalszych przeobrażeń rynku pracy. Możemy jednak dostrzec nowo występujące zjawiska, które wymagają uregulowania w kodeksie pracy. Pracodawcy potrzebują rozwiązań prawnych ułatwiających im reagowanie na ciągłe zmiany zachodzące w gospodarce – nowy kodeks musi więc zapewnić im pewną swobodę działania, nie tracąc przy tym swej funkcji ochronnej skierowanej do pracowników.

W polityce unijnej ukuto termin będący odpowiedzią na współczesne wyzwania rynku pracy. To tzw. *flexicurity*,

czyli połączenie elastyczności (*flexibility*) i bezpieczeństwa (*security*). Przez to pojęcie rozumie się przede wszystkim nowoczesne koncepcje organizacji pracy, wpływające na zmianę przepisów o czasie pracy, a także tworzeniu nowych form zatrudnienia.

Wykorzystując koncepcję *flexicurity*, w Europie Zachodniej wprowadzono model pracy na wezwanie (*call on job*), system dzielenia się pracą (*job sharing*) i inne nietypowe dotąd formy zatrudnienia w niepełnym wymiarze, które nie zostały jeszcze uregulowane w polskich przepisach. Współcześnie oczekuje się także daleko idących rozwiązań dotyczących organizacji czasu pracy, do których należą konta czasu pracy; pracownicy gromadzą na swoich kontach godziny nadliczbowe, aby je następnie „oddawać” w okresie nieświadczenia pracy lub wykonywania jej w zmniejszonym wymiarze.

Kodeks pracy przyszłości to jednocześnie zbiór przepisów, który będzie musiał być oparty na niezmiennych wartościach, przede wszystkim szacunku dla osób wykonujących pracę, który znajduje wyraz w funkcji ochronnej prawa pracy. Ustawa regulująca stosunki pracy powinna nawiązywać do zasady równości, chronić przed dyskryminacją i respektować potrzebę zachowa-

nia godności w relacjach międzyludzkich. Z tych reguł wypływa obowiązek świadczenia pracy w odpowiednich warunkach i za godną płacę, z zachowaniem prawa pracownika do wypoczynku oraz prywatności. Kodeks powinien dawać pracownikom poczucie zabezpieczenia przed utratą pracy poprzez stworzenie systemu prawnego uniemożliwiającego rozwiązanie umowy z błahego powodu, bez żadnej istotnej przyczyny.

Kodeks pracy przyszłości to ustawa spełniająca wymogi poprawnej legislacji, a zatem to akt prawny spójny, jasny i trwały, czyli odporny na ciągłe zmiany legislacyjne, nieulegający wpływom politycznym, zawierający elastyczne, a zarazem stabilne rozwiązania.

Powyższe rozważania zawierają zaledwie kilka sugestii dotyczących nowego kodeksu pracy. Niektóre wydają się wręcz oczywiste, a mimo to ciągle pozostają w sferze projektów i niezrealizowanych inicjatyw.

**dr hab. Monika Gładoch**

**doradczyni  
Prezydenta Pracodawców RP ds. Prawa Pracy,  
Zastępczyni Przewodniczącego Komisji  
Kodyfikacyjnej Prawa Pracy**





Kraków Główny Lotnisko -  
Airport Kraków

najszybsze połączenie centrum z lotniskiem -  
**20 min**



najlepsi w reprezentowaniu  
najlepszych



PONAD  
**12 000**  
FIRM

ZATRUDNIAJĄCYCH PRZESZŁO  
**5 000 000**  
PRACOWNIKÓW

Dołącz do nas:

[www.pracodawcyrp.pl](http://www.pracodawcyrp.pl)



open  
eyes  
economy  
summit

edycja **3**

ICE KRAKÓW  
20-21 XI 2018

[WWW.OEES.PL](http://WWW.OEES.PL)

FIRMA-IDEA: nowy rachunek ekonomii  
MIASTO-IDEA: kultura jako mechanizm rozwoju miasta  
MARKA-KULTURA: marketing i postprawda  
CZŁOWIEK - PRACA: uniwersytet-idea jako fundament ekonomii wartości  
ŁAD MIĘDZYNARODOWY: wartości i ideologie w sferze stosunków międzynarodowych



Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej  
ul. ks. bp. W. Bandurskiego 58/11, 31-515 Kraków

tel.: (+48) 12 423 76 05  
e-mail: [biuro@fundacijagap.pl](mailto:biuro@fundacijagap.pl)

[www.fundacijagap.pl](http://www.fundacijagap.pl)



Przedsiębiorstwo Społeczne Agencja Artystyczna GAP sp. z o.o.  
ul. ks. bp. W. Bandurskiego 58/11, 31-515 Kraków

tel.: (+48) 12 423 76 03  
e-mail: [biuro@aagap.pl](mailto:biuro@aagap.pl)

[www.aagap.pl](http://www.aagap.pl)



Nowohuckie Centrum Kultury  
al. Jana Pawła II 232, 31-913 Kraków

tel.: (+48) 12 644 02 66  
e-mail: [nck@nck.krakow.pl](mailto:nck@nck.krakow.pl)

[www.nck.krakow.pl](http://www.nck.krakow.pl)

**Eskadra**

Grupa Eskadra sp. z o.o.  
ul. Jeleniogórska 17, 30-422 Kraków

tel.: (+48) 12 25 23 700  
e-mail: [biuro@eskadra.pl](mailto:biuro@eskadra.pl)

[www.eskadra.pl](http://www.eskadra.pl)



## ZAPRASZAMY NA DRUGĄ EDYCJĘ OPEN EYES ECONOMY SUMMIT

Kolejna, druga już edycja światowego szczytu OPEN EYES ECONOMY SUMMIT zbliża się wielkimi krokami. Już 14-15 listopada w Centrum Kongresowym ICE Kraków spotka się ponad 150 mówców, ponad 100 firm i instytucji, niemal 2000 gości z całego świata.

OPEN EYES ECONOMY SUMMIT jest wielkim prestiżowym wydarzeniem o ambitnym programie i celach. Głównym tematem OEEES<sup>2</sup> jest rola idei i wartości w kształtowaniu współczesnej gospodarki oraz kultury.

Open Eyes Economy pokazuje nowy sposób myślenia o przyszłości i nową koncepcję zarządzania rozwojem świata, skupioną wokół takich pojęć jak: odpowiedzialność, równowaga, ekologia czy wrażliwość społeczna.

Tegoroczna edycja pełna będzie *intellectual slam battles* (potyczek intelektualnych), *living case studies* (przykładów dobrych praktyk z całego świata), *networking sessions* (sesji z opiniodawcami i decydentami), *Q&A sessions*, a także *meeting points* (kameralnych miejsc spotkań).

Wśród prelegentów pojawią się największe nazwiska i autorytety z całego świata. Swój udział w kongresie potwierdzili już między innymi:

### GIL PEÑALOSA

Prezes 8 80 Cities, World Urban Parks (Kanada)

### TAKAHARU TEZUKA

architekt (Japonia)

### ELŻBIETA BIEŃKOWSKA

Europejska Komisarz ds. Rynku Wewnętrznego i Usług (Polska)

### JERZY BUZEK

b. Przewodniczący Parlamentu Europejskiego (Polska)

### ZUZANNA SKALSKA

360 Inspiration (Holandia)

### STELLA NAKAWUKI LUKWAGO

Social Innovation Academy (Uganda)

### DARIO SOTO ABRIL

Prezes Fairtrade International (Kolumbia)

### GÜNTER VERHEUGEN

b. Komisarz Unii Europejskiej ds. Rozszerzenia UE (Niemcy)

### ROSS BEATY

Prezes Zarządu Pan American Silver (Kanada)

W tym roku widzimy się 14 i 15 listopada,  
znów w Centrum Kongresowym ICE Kraków.

Rejestrujcie się, rezerwujcie terminy na [www.oees.pl](http://www.oees.pl)



fotografie: OEEES

ORGANIZATOR



MIASTO GOSPODARZ



GŁÓWNY PARTNER



WSPÓŁORGANIZATORZY



ORGANIZATORZY WYDARZEŃ KULTURALNYCH



GŁÓWNI PARTNERZY MEDIALNI



POWERED BY

